

Edmond Hamilton

# Zderzenie Słońc

(Crashing Suns)

Weird Tales, August 1928.

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz

© Public Domain

This text is translation of the novella "Crashing Suns" by Edmond Hamilton, first publication in Weird Tales, August 1928.

Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

# I

**D**źwignie sterów zamigotały pod moimi rękoma i nasz statek zanurkował przez kosmos z szybkością myśli. W następnej chwili rozległ zgrzyt i poczuliśmy wstrząs, a pojazd którym lecieliśmy zakreślił się wokół osi, jak wirujący bąk. Cała wieżyczka sterówki, okna, tarcze urządzeń pomiarowych, przyrządy sterownicze, wszystko zdawało się obracać wokół mnie z błyskawiczną szybkością, zaś ja sam wczepiłem się kurczowo w trzymane w rękach dźwignie. Po chwili udało mi się ustawić je ponownie we właściwych pozycjach i natychmiast statek wyrównał swój lot i gładko popędził przez eter. Odetchnąłem z ulgą.

Pokrywa wjazdu w podłódze niewielkiego pomieszczenia uniosła się do góry i w otworze pojawiła się zaskoczona twarz potężnego Hala Kura, z mocno rozszerzonymi oczyma.

– Jan Tor, na Moc! – zawołał. – Ten ostatni meteor nieźle nas zadrasnął! Cał bliżej i byłby to koniec statku.

Na chwilę odwróciłem się do niego, śmiejąc się głośno.

– Pudło o włos jest równie dobre, jak o milę – zacytowałem.

W odpowiedzi również wyszczerzył do mnie zęby w szerokim uśmiechu.

– No cóż, pamiętaj tylko, że teraz nie jesteśmy na patrolu w okolicach Urana – przypomniał mi. – Jaki jest nasz kurs?

– Siedemdziesiąt dwa stopnie na słońce, płaszczyzna Nr 8 – powiedziałem mu, spoglądając na przyrządy pomiarowe. – W tym momencie jesteśmy już nie więcej niż czterysta tysięcy mil od Ziemi – dodałem, kiwając głową stronę znajdującego się przede mną wielkiego okna.

Hal Kur wspiął się do środka niewielkiej wieżyczki sterówki, stanął obok mnie i obaj zaczęliśmy wpatrywać się rozciągającą się przed nami przestrzeń.

Słońce, w obecnej chwili, znajdowało się na lewo od statku, a niebo przed nami było intensywnie czarne, tak że gwiazdy, płonące jaskrawym ogniem gwiazdy przestrzeni międzyplanetarnej, świeciły jak wspaniałe klejnoty. Bezpośrednio przed naszym dziobem, delikatnym przymglonym światłem, jaśniała mała kula, stopniowo robiąca się coraz większa, w miarę jak pędziliśmy w jej kierunku. To był nasz punkt docelowy, otoczony chmurami, niepokąźny glob ziemski, macierzysta planeta całej naszej rasy. Dla mnie osobiście, człowieka który spędził większość swojego życia na czterech gigantach zewnętrznych, na Jowiszu, Saturnie, Uranie i Neptunie, znajdująca się przed nami mała planetka, ze swoim pojedynczym niewielkim księżycem, wydawała się czymś niemal nieznanym. A przecież to z niej, jak doskonale zdawałem sobie sprawę,

wylewał się niekończący strumień istot ludzkich, powódź nieustraszonych pionierów, którzy rozprzestrzenili się po całym Układzie Słonecznym, w czasie ostatnich stu tysięcy lat. Zmierzali oni coraz dalej, od planety, do planety, radząc sobie z obcymi im atmosferami, bakteriami i siłami ciężkości, aż w końcu rasy ludzkie władały wszystkimi ośmioma planetami, krążącymi wokół Słońca. I w końcu to właśnie z tej Ziemi, tysiąc stuleci temu, pierwsi odkrywcy odważyli się na ryzyko wypraw w prymitywnych niewielkich stateczkach, których zawodne ekrany grawitacyjne i niepewne układy sterowania, pozostawały w niesamowitym kontraście, z potężnymi lewiatanami, obecnie śmigającymi między planetami.

Nagle zostałem wyrwany ze swojego stanu zadumy, przez ostry dobiegający z boku, dźwięk dzwonka.

– To telestereo – powiedziałem do Hala Kura. – Przejmij stery.

Kiedy to zrobił, podszedłem do szklanego dysku telestereo, wmontowanego w podłogę pomieszczenia, i dotknąłem znajdującego się obok niego przełącznika. Natychmiast pojawił się obraz, stojącej na dysku postaci człowieka w błękitno-białej szacie Najwyższej Rady. Obraz był w naturalnych rozmiarach, poruszał się i był doskonale stereoskopowy. Przeniesiony został do mojego aparatu przez próżnię kosmiczną przy pomocy drgań eteru. Poprzez to samo medium, dzięki któremu rzutowano obraz, człowiek ten widział mnie i słyszał, jak również ja wdziałem i słyszałem jego. Natychmiast więc odezwał się wprost do mnie:

– Jan Tor, kapitan Międzyplanetarnej Krążowni Patrolowej 79388 – oznajmił, zwracając się w oficjalnej formie. – Dowództwo Najwyższej Rady Ligi Planet, do Jan Tora. Rozkazuje się panu kontynuować lot na Ziemię, z najwyższą możliwą szybkością, zaś natychmiast po przybyciu na miejsce, zgłosić się do Rady, w Gmachu Planet. Czy rozkazy zostały odebrane?

– Rozkazy zostały odebrane i będą wykonane – odpowiedziałem, używając zwyczajowej formuły potwierdzenia, i postać na dysku raptownie znikła.

Natychmiast odwróciłem się w stronę rury głosowej, łączącej mnie z pomieszczeniami ekranów krążownika.

– Cała możliwa szybkość w kierunku Ziemi – rozkazałem inżynierowi, który odebrał moje wezwanie. – Otworzyć na oścież wszystkie lewe oraz dolne ekrany i wykorzystać pełną siłę przyciągania Słońca, dopóki nie znajdziemy się w odległości dwudziestu tysięcy mil od Ziemi, a następnie zamknąć je, aby użyć przyciągania Jowisza i Neptuna, do wyhamowania naszego dalszego lotu. Potwierdzić odebranie rozkazu.

Kiedy potwierdził rozkaz, zwróciłem się do Hala Kura.

– Dzięki temu powinniśmy dotrzeć na Ziemię w ciągu godziny – powiedziałem do niego, – chociaż Moc sama wie, czego Najwyższa Rada może chcieć od prostego kapitana patrolu.

W odpowiedzi zahuczał jego śmiech:

– Cóż za niezwykła skromność z twojej strony! Ileż to razy słyszałem twoje barwne opowieści o tym, jak wspaniale byłoby rządzonych Osiem Planet gdyby Jan Tor wszedł w skład Rady, a teraz nagle jesteś tylko, zwykłym kapitanem patrolowca!

Z tą pożegnalną szpilą, ześlizgnął się szybko na dół, przez właz w podłodze, akurat na czas, aby uniknąć dobrze wymierzonego kopniaka. Jeszcze gdzieś z dołu ponownie doleciał do mnie jego tubalny śmiech, zanim pokrywa włazu zatrzasnęła się ze szczękiem nad jego głową, i sam uśmiechnąłem się do siebie pod nosem. Nikt inny na pokładzie krążownika, poza Hal Kurem, nie pozwoliłby sobie na tego rodzaju poufałość w odniesieniu do kapitana, lecz potężny inżynier dobrze wiedział, że trzydziestoparoletni okres służby w Patrolu, czynił go osobą dosyć uprzywilejowaną.

Jednak, kiedy właz zatrzasnął się już za nim, w jednej chwili zupełnie zapomniałem o wszystkim innym, i skoncentrowałem swoją uwagę na locie statku. Zazwyczaj pełniłem funkcje pilota na swoim krążowniku, zawsze kiedy tylko było to możliwe, i w chwili obecnej byłem sam w okrągłym kokpicie pilota, albo inaczej mówiąc w wieżycze sterówki, umieszczonej na grzbiecie podłużnego, podobnego z kształtu do ryby, kadłuba statku. Muszę jednak przyznać, że tylko duma powstrzymywała mnie teraz przed wezwaniem asystenta, który pomógłby mi przy sterach. Słońce przyciągało bowiem statek z niesamowitą szybkością, i kiedy pędziliśmy obok niewielkiego lśniącego księżyca Ziemi, wpadliśmy w pas meteorów, który zafundował mi kilka gorących momentów. W końcu jednak, przeszliśmy już przez niebezpieczną strefę i opadaliśmy ku Ziemi, z coraz niższą szybkością, w miarę otwierania kolejnych ekranów, co pozwalało aby przyciąganie Neptuna i Jowisza, spowalniało nasz dalszy lot.

Naciśnięciem przycisku wezwałem wtedy pilota, który zastąpił mnie przy sterach, i kiedy dalej opadaliśmy płynnie ku leżącej w dole zielonej planecie, wyglądałem przez okno obserwując gęste kłębowisko międzyplanetarnego ruchu towarowego, przez które wiodła teraz nasza droga. Wydawało się, daję słowo, że połowa statków kosmicznych układu słonecznego, zebrała się po bokach i pod nami, tworząc gęsto upakowany korek komunikacyjny. Pośród nich widać było potężne statki transportowe, których kadłuby o długości mili, wypakowane były po brzegi tysiącami najróżniejszych produktów ziemskich, i które ociężałe rozpoczynały swoją daleką podróż na zewnątrz układu, do Neptuna i Urana. Przemykały koło nas eleganckie, długie jednostki pasażerskie, których przezroczyste górne fragmenty kadłubów, dawały nam przelotny obraz grup pasażerów na swoich zalanych słońcem pokładach. Liczne były również prywatne łodzie turystyczne i jachty, w większości cuda w błyszczącej bieli, i lwią ich część najwyraźniej kierowała się na doroczne regaty kosmiczne Jowisz-Mars. Tu i ówdzie przez kłębowisko statków przepychały się łodzie miejscowej policji z Ziemi, oraz wychwytiłem również jeden czy dwa podobne do nas, długie, czarne krążowniki Patrolu Międzyplanetarnego, najszybsze statki w kosmosie. W końcu jednak, udało się. Po powolnym, męczącym locie przez zatłoczone wyższe poziomy, nasz krążownik pokonał korek komunikacyjny i zmierzał po wydłużonej krzywej w dół, ku powierzchni Ziemi.

**W** miarę jak pędziliśmy nad planetą, rozwijała się przede mną jej przypominająca park powierzchnia, panorama łąk i lasów, z widocznymi tu i ówdzie kropkami błyszczących, białych miast. Przelecieliśmy ponad jednym z jej oceanów, który dla moich oczu, przyzwyczajonych do potężnych mórz Jowisza i olbrzymich, otoczonych lodem oceanów Neptuna, wydawał się czymś niewiele większym od stawu, a następnie ponownie pomknęliśmy nad lądem. W końcu, daleko przed nami, wyłoniła się gigantyczna biała kopuła wielkiego Gmachu Planet, stałej siedziby Najwyższej Rady i centrum rządowego Ośmiu Planet. Pośpieszyliśmy w jej kierunku i samotna tytaniczna budowla, wznosząca się swoją jaskrawo białą kopułą, na wysokość tysiąca stóp w niebo, szybko zaczęła robić się coraz większa. W ciągu paru chwil znaleźliśmy się koło niej i krążownik zszedł po skosie, w stronę kwadratowego lądowiska za wielką kopułą.

Kiedy wylądowaliśmy bez najmniejszego wstrząsu, otworzyłem mały właz w boku wieżyczki sterówki i po chwili znajdowałem się już na ziemi, zjechawszy po zamontowanej na burcie krążownika drabince. Natychmiast podbiegł mi na spotkanie szczupły, młody człowiek w okularach, noszący poznaczone czerwonym kolorem szaty Naukowca, sowio-podobna postać, w którą przez chwilę wpatrywałem się ze zdumieniem. Potem otrząsnąłem się ze zdziwienia i chwyciłem go za dłonie.

– Sarto Sen! – zawołałem. – Na Moc, cieszę się, że cię widzę! Myślałem, że pracowałeś w Laboratoriach Wenus.

Oczy mojego przyjaciela błyszczały z radości spotkania ze mną, ale chwilowo nie tracił czasu na rozmowę, poganiając mnie przez lądowisko, w stronę drzwi prowadzących do wnętrza wielkiego budynku.

– Właśnie w tej chwili zebrała się Rada – szybko wyjaśnił prowadząc mnie za sobą. – Poprosiłem przewodniczącego, Mur Daka, żeby przeciągnął rozpoczęcie obrad, aż do twojego przybycia.

– Ale o co w tym wszystkim chodzi? – spytałem go, oszołomiony. – Dlaczego oni czekają na *mnie*?

– Zrozumiesz to już za chwilę – odpowiedział mi, z poważną twarzą. – Ale oto jest Sala Rady.

Wcześniej przemierzaliśmy w szybkim tempie całą serię długich, białych korytarzy. Teraz zaś przeszliśmy przez wysoki łuk białych wrót, wchodząc do samej wielkiej Sali Rady. Zwiedzałem już kiedyś to miejsce – a któż na Ośmiu Planetach tego nie zrobił? -- i wspaniała, okrągła sala oraz wieńcząca ją kolosalna, wysoka kopuła, nie były dla mnie widokiem nieznanym. Obecnie jednak zobaczyłem ją taką, jaką tylko niewielu ludzi miało okazję ujrzeć, z ośmioma setkami członków Najwyższej Rady, zebranymi na uroczystej sesji. Siedzieli wielkim półkolem, wokół podium przewodniczącego, w zakrzywionych rzędach foteli, z których każdy zajęty był przez określonego członka. Każda setka zgrupowana była wokół symbolu planety, którą reprezentowała, niezależnie od tego, czy był to niewielki Merkury, czy ogromny Jowisz. Na znajdującym się pośrodku podium, stała samotna postać Mur Daka, przewodniczącego. Ewidentne było, że, tak jak powiedział mój przyjaciel, Rada właśnie się zebrała,

ponieważ w tej chwili Mur Dak nic nie mówił, tylko spoglądał spokojnie po milczących rzędach członków.

Chwilę zajęło nam pokonanie przejścia między siedzeniami i zejście do podium. Stanęliśmy pod nim. W odpowiedzi na mój żołnierski salut, przewodniczący powitał mnie tylko jednym słowem, a następnie wskazał ręką dwa puste siedzenia, które najwidoczniej zostały zarezerwowane dla nas. Kiedy siadałem w swoim, przez głowę przemknęła mi myśl, co by powiedział potężny Hal Kur, widząc swojego kapitana zajmującego fotel w samej Najwyższej Radzie. Potem ta mile łechtająca próżność myśli uleciała, ponieważ Mur Dak zaczął mówić.

– Ludzie Ośmiu Planet – oznajmił powoli. – Zwołałem tę sesję Rady, z bardzo poważnych powodów. Zwołałem ją, ponieważ właśnie wykryte zostało niebezpieczeństwo, zagrażające naszej cywilizacji, samemu naszemu istnieniu i całej naszej rasie. Śmiertelna groźba, zmierzająca ku nam z trudno do pomyślenia szybkością i która może spowodować zagładę całego naszego świata!

Przerwał na krótko, zaś pomiędzy zebranych członkami Rady, przeszedł głęboki szmer zaskoczenia. Po raz pierwszy, w tym momencie, zauważyłem, że ostra, inteligentna twarz Dak Mura, jest blada i nerwowo ściągnięta. Pochyliłem się do przodu, wstrzymując oddech i nasłuchując z napięciem. Po chwili przewodniczący zaczął ponownie mówić.

– Muszę teraz nieco cofnąć się w przeszłość – powiedział, – po to, aby wszyscy mogli dobrze zrozumieć powagę sytuacji, której musimy stawić czoła. Jak państwo wiecie, nasze słońce i osiem krążących wokół niego planet, nie spoczywają nieruchomo w przestrzeni. Nasze słońce, razem ze swoją rodziną planet, przez całe eony poruszało się w kosmosie przez Drogę Mleczną, z prędkością mniej więcej dwunastu mil na sekundę. Wiecie również, że wszystkie inne słońca, wszystkie inne gwiazdy, przemieszczają się w przestrzeni w podobny sposób. Niektóre z nich z mniejszą szybkością, inne zaś z szybkością niewyobrażalnie większą. Płonące młode słońca, umierające słońca czerwone, zimne ciemne słońca wszystkie one mkną przez nieskończone przestworza kosmosu, każde swoją własną trasą, każde w kierunku swojego wyznaczonego końca.

– A pośród tej nieskończonej mnogości tłoczących się gwiazd, jest jedna, która jak wiemy, nazywa się Alto. To wielka, czerwona gwiazda, to umierające słońce, w miarę upływających wieków stopniowo zbliżało się do nas, i obecnie jest najbliżej nas, ze wszystkich gwiazd. Jest nieco większa, niż nasze Słońce i jak wszyscy państwo z pewnością wiecie, gwiazda ta i nasze słońce, poruszają się w przeciwnych kierunkach, zbliżając się do siebie z szybkością tysięcy mil na sekundę. Alto bowiem porusza się z niewyobrażalnie wielką szybkością. Nasi naukowcy obliczyli, że oba słońca miną się, za nieco ponad rok od dzisiaj, a potem w olbrzymim tempie, zaczną się od siebie oddalać. Nigdy nie powstała nawet myśl, o jakimś możliwym zagrożeniu dla nas, wynikającym z pobliskiego przejścia tego umierającego słońca, ponieważ wiadano, że jego trajektoria w kosmosie mija nas w odległości miliardów mil. Następnie Alto miała podążać dalej swoją drogą, i wszystko powinno dobrze się skończyć. Obecnie jednak, wydarzyła się rzecz, zupełnie pozbawiona precedensu.

- Jakieś osiem tygodni temu Południowe Obserwatorium na Marsie zgłosiło raport na temat zbliżającej się gwiazdy. Wydawało się, że Alto lekko zmieniło swój kurs, kierując się bardziej w kierunku centrum Układu Słonecznego. Przesunięcie było bardzo małe, ale jakakolwiek zmiana kierunku ruchu w przypadku gwiazdy, byłaby faktem zupełnie bez precedensu. Tak więc, w ciągu ostatnich ośmiu tygodni, gwiazda ta była uważnie obserwowana. Podczas tego okresu, efekt zmiany kierunku jej ruchu, stawał się coraz bardziej widoczny. W coraz większym stopniu, gwiazda ta odchyłała się od trajektorii, którą poprzednio podążała, i do dzisiaj znalazła się wiele milionów mil od swojej trasy, przy czym odchylenie to zwiększa się z każdą minutą. Dzisiaj rano nadeszło przesilenie. Otrzymałem bowiem wiadomość telestereo, od dyrektora Biura Astronomicznego na Wenus, który poinformował mnie, że zmiana kursu tej gwiazdy stała się dla nas katastrofalna. Ponieważ, zamiast minąć nas o miliardy mil, tak jak to miało być, Alto obecnie kieruje się prosto w stronę naszego Słońca. A nasze Słońce, pędzi mu na spotkanie!

- Nie muszę chyba państwu tłumaczyć, jakie będą skutki tej całej sytuacji. Nasi astronomowie obliczyli, że za niecały rok nasze Słońce i ta umierająca gwiazda, spotkają się ze sobą, zderzą się w gigantycznej płomienistej kolizji. Skutkiem tego zderzenia, będzie anihilacja naszego układu, stanowiącego nasz wszechświat, w którym żyjemy. *Planety naszego układu zginą jak kwiaty w piecu, w tym tytanicznym holokauście zderzających się słońc!*

---

**G**łos Mur Daka ucichł, i w całej olbrzymiej sali zapanowała grobowa cisza. Wydaje mi się, że w tym momencie, my wszyscy tam zebrani, staraliśmy się zrozumieć naszymi oszołomionymi umysłami to, o czym mówił nam Mur Dak, pojąć to śmiertelne niebezpieczeństwo, pędzące w naszą stronę, aby zniszczyć kompletnie nasz wszechświat. Wtedy, zanim milczenie zdołało się przerodzić w nieunikniony wybuch gwaru zaskoczenia i strachu, wstał jeden z członków zasiadających w części Rady pochodzącej z Merkurego, człowiek o szlachetnej postaci, który zwrócił się bezpośrednio do Mur Daka.

- Przez sto tysięcy lat - powiedział, - my, rasy ludzkie, napotykalismy niebezpieczeństwo za niebezpieczeństwem, pokonując je jedno za drugim. Rozprzestrzenialismy się z planety na planetę, podbijając je i trzymając je w dłoni, aż w końcu staliśmy się panami naszego wszechświata. A teraz kiedy wszechświat ten staje w obliczu destrukcji, mamy usiąść beczynnienie i czekać? Czy nie ma czegoś, co moglibyśmy zrobić, czy nie ma żadnej szansy, choćby najmniejszej, aby powstrzymać zbliżającą się zagładę?

Gdy skończył, wybuchła burza owacji, gwałtowny huragan aplauzu, który przez kilka minut szalał po sali z furią cyklonu. Ja również uniesiony tą falą zerwałem się na nogi razem z pozostałymi, krzycząc jak szaleniec. To była nieunikniona reakcja, na tę chwilę dławiącego serce strachu, wybuch tego odwiecznej woli podboju, która zahartowała serca ludzi w

ogniu tysięcy śmiertelnych niebezpieczeństw. Kiedy poruszenie nieco opadło, ponownie przemówił Mur Dak.

– Nie było moim celem sugerowanie abyśmy pozwolili śmierci uderzać na nas, bez żadnego działania z naszej strony, w celu jej odparcia – oznajmił nam. – Zaś fortuna, właśnie w tej chwili, daje nam do ręki szansę na uderzenie we własnej obronie. Mianowicie, Sarto Sen, jeden z naszych najwspanialszych młodych naukowców, przez ostatnie trzy lata pracował nad wielkim problemem, wykorzystania drgań eteru jako siły napędowej, mogącej poruszać materię w przestrzeni kosmicznej. Unoszący się na wodzie plasterek, może poruszać się po jej powierzchni, napędzany przechodzącymi przez nią falami. Dlaczego więc nie można by w podobny sposób poruszać materii w kosmosie, przy pomocy fal albo drgań samego eteru? Eksperymentując w zakresie powyższego problemu, Sarto Sen udało się wykonać niewielkie modele, które potrafiły pędzić przez kosmos, przy pomocy sztucznie wywołanych drgań eteru. Drgań, które mogą być tworzone z bardzo wysokimi częstotliwościami, podobnie jak drgania światła, i które w związku z tym były w stanie rozpędzać te modele w locie przez przestrzeń, do szybkości równej prędkości samego światła.

– Korzystając z tej właśnie zasady, Sarto Sen zbudował mały, dziesięcioosobowy krążownik, będący w stanie osiągnąć prędkość światła, który miał być wykorzystany do podróży badawczych, do najbliższych gwiazd. Aż do dzisiaj, jak państwo wiecie, nie byliśmy w stanie wyruszyć na wyprawę poza nasz układ słoneczny, ponieważ nawet najszybsze nasze statki napędzane ekranami grawitacyjnymi, nie były w stanie osiągnąć dużo większych prędkości niż paręset tysięcy mil na godzinę, a dotarcie z tą szybkością do najbliższej gwiazdy, zajęłoby całe wieki. Ale tym nowym, napędzanym drganiami, krążownikiem, podróż do gwiazd byłaby kwestią tygodni, a nie wieków.

– Kilka godzin temu rozkazałem Sarto Senowi sprowadzić nowy krążownik tutaj, do Gmachu Planet. Jest on w pełni wyposażony i w tym momencie spoczywa na jednym z okolicznych lądowisk, z załogą sześciu ludzi posiadających doświadczenie w jego obsłudze, gotowy do wykonania lotu o dowolnej długości. Moja propozycja polega na tym, abyśmy w świetle powstałej sytuacji nadzwyczajnej, wysłali ten nowy krążownik do zbliżającej się gwiazdy, Alto, aby odkrył jakie siły lub okoliczności, spowodowały odchylenie toru tego słońca, od jego poprzedniej trasy. Wiemy, że siły te, czy też okoliczności, muszą mieć charakter nadzwyczajny, aby zmienić tor lotu gwiazdy. Jeżeli będziemy potrafili odkryć jakie zjawisko jest przyczyną odchylenia jej trajektorii, pojawi się być może szansa na powtórzenie, albo odwrócenie tego zjawiska, aby ponownie zepchnąć tę gwiazdę z kursu, którym podąża obecnie, i w ten sposób uratować nasz układ słoneczny, nasz wszechświat.

Mur Dak przerwał na moment, i była to chwila prawdziwej, zmrożonej ciszy w wielkiej Sali. Ponieważ śmiałość przedstawionej przez niego propozycji była obezwładniająca, nawet dla tych z nas, którzy na co dzień przemierzali granice Układu Słonecznego. Dostatecznym wyzwaniem wydawało się żeglowanie po ścieżkach naszego wszechświata, tak jak ludzie robili to od wieków, ale zapuszczenie się w ogromne otchłanie



morza rozpościerającego się poza nim, aby pomknąć w stronę samych gwiazd, aby spokojnie zbadać niestabilne zachowanie tytanicznego, pędzącego słońca, była to propozycja, która na chwilę pozbawiła nas tchu w płucach. Ale jedynie na chwilę, jako że gdy nasze umysły pojęły wielkość przedstawionej idei, ponownie nastąpił grzmiący wybuch aplauzu masy zebranych członków Rady. Owacje jeszcze się wzmożyły, kiedy przewodniczący wezwał na podium samego Sarto Sena i zaprezentował go zgromadzeniu. Potem, gdy tumult nieco się uspokoił, Mur Dak zaczął mówić dalej.

– Tak więc, krążownik wystartuje natychmiast – oznajmił. – Pozostaje nam jeszcze tylko kwestia wyboru kapitana tej jednostki. Oczywiście, to Sarto Sen i jego ludzie będą odpowiedzialni za obsługę pojazdu, ale musimy mieć dowódcę całej ekspedycji, człowieka sprawdzonego w działaniu i potrafiącego szybko podejmować właściwe decyzje. Wybrałem już tego człowieka i chciałbym przedstawić państwu do aprobaty kogoś, kogo nazwisko jest znane większości z państwa. Człowieka w młodym wieku, ale który większą część swojego życia poświęcił służbie w Patrolu Międzyplanetarnym, i który wyróżnił się wysoce dwa lata temu, w wielkiej bitwie kosmicznej z piratami międzyplanetarnymi, stoczonej koło Japeta. Panie i panowie, Jan Tor!

Przysięgam, że aż do ostatniej sekundy, nie miałem nawet cienia podejrzenia, że Mur Dak mówi o mnie, i kiedy zwrócił swój wzrok prosto na mnie i wymienił moje nazwisko, byłem w stanie jedynie gapić się na niego w oszołomieniu. Ci, którzy siedzieli koło mnie, wypchnęli mnie jednak z fotela i postawili na nogi, a w następnej chwili uderzył mnie w twarz, jak fizyczny cios, kolejny ryk aplauzu setek zebranych dookoła członków Rady. Podszedłem niezgrabnie do podium, otoczony burzą aprobujących owacji i stanąłem obok Mur Daka, ciągle na wpół oszołomiony niespodziewanym rozwojem sytuacji. Przewodniczący uśmiechnął się do mnie pośród krzyczących członków Rady.

– Widzę, że nie ma potrzeby pytać państwa, czy aprobujecie mój wybór – powiedział, a następnie odwrócił się w moją stronę, już z powagą na twarzy. – Jan Torze – zwrócił się do mnie uroczystym tonem, brzmiącym czysto i dźwięcznie w nagle uciszonej sali, – powierzamy panu dowództwo tej ekspedycji, najważniejszej w całej naszej historii. Ponieważ to od tej wyprawy, i od pana, jako jej przywódcy, zależy los naszego Układu Słonecznego. Tak więc, rozkazem Najwyższej Rady, otrzymuje pan funkcję dowódcy nowego krążownika, i ma pan udać się z pełną szybkością w kierunku zbliżającej się gwiazdy, Alto, aby odkryć powody zmiany przez nią kierunku poruszania się, oraz aby stwierdzić, czy istnieją jakieś środki do kolejnej zmiany jej trajektorii ruchu. Czy rozkaz został odebrany?

---

**P**ięć minut później wkroczyłem razem z Sarto Senem i Hal Kurem na lądowisko, na którym spoczywał nowy krążownik. Jego podłużny,

rybokształtny kadłub błyszczał jaskrawo w promieniach słońca. Zaraz jak tylko się zbliżyliśmy, z trzaskiem otworzył się właz w burcie statku i ze środka wyszedł nam na spotkanie jeden sześciu ubranych na niebiesko inżynierów, stanowiących załogę okrętu.

– Wszystko gotowe do startu – zameldował Sarto Senowi w odpowiedzi na pytanie tego ostatniego, odsuwając się na bok, tak, byśmy mogli wejść do środka.

Przeszliśmy przez właz i znaleźliśmy się na pokładzie krążownika. Otwarte drzwi po lewej stronie, dały mi przelotny widok na wąskie kwatery mieszkalne statku, zaś po prawo rozciągało się podłużne pomieszczenie, w którym kolejni ubrani na niebiesko ludzie stali w gotowości obok lśniących, stożkowatych generatorów drgań. Tuż przed nami, znajdowały się prowadzące na górę małe, kręte schody, którymi poprowadził nas Sarto Sen. Idąc za nim, po chwili znaleźliśmy się w wieżycze sterówki krążownika, zaś Sarto Sen natychmiast ruszył, aby zająć swoje miejsce za sterami.

Nacisnął przycisk i cały kadłub krążownika przeszył ostry dzwonek alarmu ostrzegawczego. Gdzieś pod nami rozległy się odgłosy biegających stóp, a następnie długi szcęk, zatraskujących się potrójnych, ciężkich wrót włazu. Natychmiast potem dało się słyszeć znajome pulsowanie tumb-tumb-tumb, działających pomp tlenowych, które rozpoczęły już pracę nad uzupełnianiem i odświeżaniem powietrza w hermetycznie zamkniętym statku.

Sarto Sen zatrzymał się na chwilę, wyglądając przez znajdujące się przed nim szerokie okno, a potem wyciągnął rękę, i nacisnął, jeden po drugim, serię trzech przycisków. Wnętrze krążownika wypełniło się niskim, głębokim szumem i nastąpiła chwila jakiegoś zawieszenia, jakby oczekiwania z zapartym tchem. Potem Sarto Sen nacisnął kolejny przełącznik, rozległ się dźwięk podobny do krótkiego westchnienia powietrza i nagle zalany światłem słonecznym plac lądowiska, zniknął, w ułamku sekundy zastąpiony widokiem głębokiej, usianej gwiazdami nocy międzyplanetarnej przestrzeni kosmicznej. Szybko spojrzałem na dół, przez boczne okno i przez krótką chwilę dostrzegałem jeszcze pod nami obracającą się szarą kulę. Natychmiast jednak skurczyła się ona do rozmiarów punktu i zniknęła w tym samym mgnieniu oka, w którym na nią spojrzałem. To była Ziemia, znikająca za nami, podczas gdy my pomknęliśmy z przerażającą prędkością przez bezmiary kosmosu.

Teraz pędziliśmy już przez pas asteroidów, za Marsem, a wkrótce potem przed nami i nieco z lewej wyłoniła się potężna planeta Jowisz. Początkowo, kiedy lecieliśmy w jej stronę, rozrosła się błyskawicznie w dużą, poznaną pasami, białą kulę, a następnie gdy już koło niej przemknęliśmy, równie szybko skurczyła się i zniknęła za nami. W tym czasie również samo Słońce zmniejszyło się w oddali, za naszymi plecami, do niewielkiego dysku ognia. W godzinę później kolejna gigantyczna planeta przemknęła do tyłu po naszej prawej stronie. Był to skuty lodem glob Neptuna, najdalej na zewnątrz układu położona z Ośmiu Planet. Znaleźliśmy się poza ostatnimi granicami Układu Słonecznego i teraz

pędziliśmy z prędkością światła, w potężne niezgłębione otchłanie kosmosu, w naszej szaleńczej podróży w celu uratowania wszechświata.

---

## II

**G**odzinę po tym, jak opuściliśmy Układ Słoneczny, Hal Kur i ja ciągle jeszcze staliśmy razem z Sarto Senem w wieżycze sterówki, wpatrując się z niej, w oszałamiającą panoramę położonych przed nami skupisk gwiazdnych. Słońce naszego własnego układu, zmalało już do rozmiarów niewielkiego punkcika światła, gdzieś daleko za nami, stając się jedną z wielu milionów gwiazd, błyszczących wszędzie dookoła, na tle głębokiej czerni kosmosu. Tutaj bowiem, nawet w jeszcze większym stopniu niż między planetami, gwiazdy prezentowały się naszym oczom w swojej prawdziwej krasie, nie przyćmiewane przez bliskość którejs z nich. Chmury lśniących, jaskrawych, różnokolorowych punkcików ognia, niebieskich, zielonych, białych, czerwonych i żółtych, ze wszystkich stron gęsto usiały ciemne niebo, a olśniewający pas Drogi Mlecznej ciągnął się w stronę lewego górnego rogu naszej panoramy, jak wielka rzeka rojących się pszczół. Prosto przed nami, widniało jedno specyficzne ciało niebieskie, świecące wspaniałą przydymioną purpurą, pojedynczy punkt czerwonego ognia. Wiedziałem, że to była Alto, płonąca ponurym płomieniem gwiazda, która była celem naszej wyprawy.

Spoglądałem na tę czerwoną gwiazdę, z pewnego rodzaju niedowierzaniem, ponieważ chociaż tarcze wszystkich znajdujących się przede mną przyrządów, wskazywały, że pędzimy w jej kierunku z szybkością bliską dwustu tysięcy mil na sekundę, to jednak gdyby nie głęboki pomruk maszyn wibracyjnych okrętu, człowiek mógłby pomyśleć, że statek spoczywa w bezruchu. Nie było nawet śladu dochodzącego z zewnątrz wycia wichru, ani przyjaznych blisko leżących planet, nic przy pomocy czego oko mogłoby zmierzyć tę szaleńczą szybkość, z którą się poruszaliśmy. Mknęliśmy poprzez nicość, której ogrom i pustka oszałamiała umysł, przez kosmiczną próżnię, w której tylko gwiazdy unosiły się jak cząsteczki kurzu w powietrzu, przez głębiny dotąd przemierzane wyłącznie przez pędzące meteory, płonące komety, a teraz przez nas i nasz delikatny, wrażliwy, niewielki stateczek.

Muszę powiedzieć, że chociaż ta niezwykłość naszego położenia oddziaływała na mnie osobiście silnie, to na potężnego Hal Kura, chyba nawet jeszcze bardziej. Przez większą część życia wędrował po szlakach kosmicznych Układu Słonecznego, a teraz wszystkie jego uświęcone przez

czas reguły żeglugi międzyplanetarnej, zostały postawione pod znakiem zapytania, przez ten nowy krążownik, pojazd całkowicie pozbawiony ekranów grawitacyjnych, który śmigał od gwiazdy do gwiazdy, napędzany jedynie niewidocznymi drganiami. Widziałem jak jego głowa kręci się z niedowierzaniem, kiedy wpatrywał się we wspaniałą panoramę skłębionych gwiazd, i po chwili opuścił nas, schodząc na dół, do wnętrza kadłuba krążownika, aby przyjrzeć się jego dziwnym maszynom napędowym.

Kiedy wyszedł, zanurzyłem się natychmiast w zadaniu nauczenia się procedur sterowania i działania naszego pojazdu. Następne dwie godziny spędziłem pod nadzorem Sarto Sena, i pod koniec tego okresu czasu, nauczyłem się już najważniejszych właściwości kierowania okrętem. Jednym z urządzeń sterujących była przepustnica, która regulowała częstotliwość drgań generowanych w znajdującej się pod nami maszynowni, i w ten sposób w miarę potrzeby zwiększała i zmniejszała naszą szybkość. Natomiast z użyciem odpowiedniej dźwigni i miernika, wykorzystywanych do rzutowania wibracji do tyłu, pod dowolnym wybranym kątem, można było kontrolować kierunek w jakim się poruszaliśmy. Głównym jednak wymaganiami do właściwego sterowania pojazdem, jak się wkrótce zorientowałem, były precyzyjne i pewne ręce na tych dwóch urządzeniach sterujących, ponieważ zaledwie dotknięcie pierwszego z nich, mogło zmienić naszą prędkość z błyskawicznym tempie, podczas gdy niewielki ruch drugim, potrafił niemal natychmiast zepchnąć nas na miliony mil z naszego kursu.

Po tych dwóch godzinach osiągnąłem, jednak, wystarczające umiejętności, żeby utrzymać krążownik na kursie, bez jakichś poważniejszych odchyień od niego, ani zmian prędkości, zaś Sarto Sen na tyle mocno zaufał moim zdolnościom, aby zostawić mnie przy sterach samego. Zszedł położonymi z tyłu, za moimi plecami, małymi schodkami, aby dokonać kilkuminutowej inspekcji znajdujących się na dole generatorów, i zostałem sam w wieżycy sternika.

Stałem tam, w ciemnym niewielkim pomieszczeniu. Jedynymi dźwiękami jakie do mnie docierały, były głębokie pomruki generatorów z dołu. Jedyne światło wewnątrz sterówki, dawały tylko osłonięte lampki podświetlające tarcze przyrządów pomiarowych i przełączniki, na pulpicie przede mną. Wpatrywałem się w skupieniu, przez szerokie okno przednie, w roztaczającą się wokół nas skłębioną masę rojących się gwiazd, w to mrowie płomienistych klejnotów, spośród których wielka gwiazda Alto płonęła jak żywy ogień. Przez dłuższy czas spoglądałem na tę gwiazdę, będącą celem naszej wyprawy, potem jednak moje myśli zostały przerwane przez Sarto Sena, wchodzącego po schodach za moimi plecami. Na w pół odwróciłem się do niego, aby go przywitać, ale natychmiast szybko spojrzałem ponownie w okno, zeszywniały w nagłym skupieniu.

Moje oczy wychwyciły obraz malutkiej plamki całkowitej czerni, gdzieś daleko przed nami, obszar zupełnej ciemności, który szybko powiększał swoje rozmiary, rosnąc błyskawicznie, aż po mniej niż sekundzie, zdało się, że zasłonił połowę z mrowiących się przed nami gwiazd. Jego nagłe pojawienie się, ogłupiło mnie na chwilę, tak że stałem bez ruchu, jak

sparaliżowany, ale potem moje ręce strzeliły do sterów. Usłyszałem jak Sarto Sen krzyczy coś za moimi plecami i pochwyciłem przelotny widok rozrastającej się z przodu ciemności, zasłaniającej już niemal całe niebo. W następnej chwili zanim jeszcze moje dłonie zdołały zrobić coś więcej, niż tylko dotknąć dźwigni sterów, wszystkie światła w wieżycze sterówki znikły w mgnieniu oka i zanurzyliśmy się w obszar najczarniejszej ciemności, jakiej kiedykolwiek doświadczyłem. W tym samym momencie nagle urwał się znajomy pomruk generatorów wibracyjnych.

Myślę, że chwilę, która nastąpiła później, można zaliczyć do tych, pozwalających mi po raz pierwszy poznać znaczenie słowa groza. Zniknęła każda, najdrobniejsza nawet, isierka światła, a milczenie generatorów drgań mogło oznaczać tylko jedno, że nasz statek dryfuje na ślepo przez tę duszącą ciemność. Ze znajdującego się poniżej wnętrza kadłuba krążownika, dobiegały okrzyki strachu i przerażenia. Usłyszałem Sarto Sena, przesuwanego się po omacku koło mego boku i nerwowo poruszającego przełącznikami. Potem, z zaskakującą nagłością, w całej wieżycze sternika rozbłysły ponownie światła, a przez okna buchnął wspaniały blask rozgwieżdżonego nieba. W tej samej chwili generatory wibracyjne podjęły z powrotem swój głęboki buczący pomruk.

Kiedy Sarto Sen odwrócił się do mnie, jego twarz była równie biała, jak i moja. Instynktownie obaj skierowaliśmy wzrok w stronę tylnego okna wieżyczki sterówki, gdzie, daleko za nami, widać było ten zadziwiający obszar czerni, z którego właśnie się wynurzyliśmy. Olbrzymi, nieregularny obszar całkowitej ciemności, szybko zmniejszał swoje rozmiary, w miarę jak mknęliśmy coraz dalej od niego. W ciągu dosłownie chwili skurczył się do rozmiarów punktu, takiego samego jak wtedy, kiedy po raz pierwszy go spostrzegłem, a następnie zniknął całkowicie. Ponownie pędziliśmy przez znajome, usiane gwiazdami niebo.

W końcu odzyskałem głos.

– W imię Mocy – zawołałem, – a cóż *to* było takiego?

Sarto Sen pokręcił z zastanowieniem głową.

– Obszar bez światła – powiedział, na wpół do samego siebie. – A nasze generatory... one również tam nie działały. To musiała być dziura, pusta przestrzeń w samym eterze.

Byłem w stanie tylko wpatrywać się w niego ze zdumieniem.

– Dziura w eterze? – powtórzyłem.

Szybko skinął potwierdzająco głową.

– Widziałeś przecież, co się stało. Światło jest drganiem eteru, a światło w tym obszarze nie istniało. Nawet nasze generatory przestały wytwarzać wibracje w eterze, ponieważ nie było tam eteru, w którym mogłyby funkcjonować. Zawsze myślnano, że eter wypełnia całą przestrzeń, ale jak widać, nawet on ma swoje dziury, swoje jamy, co wyjaśniałoby te ciemne, pozbawione światła obszary na niebie, które zawsze tak intrygowały astronomów. Gdyby nasza ogromna prędkość i moment pędu nie przeniosły nas przez ten za nami, przyciąganie różnych gwiazd zwalniałoby nas stopniowo, a w końcu by zatrzymało, więząc nas w tym ciemnym obszarze, aż do końca czasu.

Pokręciłem głową, tylko na wpół słuchając jego wyjaśnień, ponieważ obcość tej rzeczy zniechęciła mnie do niej.

– Przejmij stery – powiedziałem mu. – Meteory, są czymś normalnym, moją codzienną pracą, ale dziury w eterze, to dla mnie już zbyt wiele.

Zostawiłem go na wachcie, czuwającego nad lotem statku i zszedłem do wnętrza krążownika, gdzie inżynierowie ciągle jeszcze prowadzili dyskusje z Hal Kurem, nad doświadczeniem przez które właśnie przeszli. W kilku słowach wyjaśniłem im teorię Sarto Sena, i wrócili na swoje stanowiska z wystraszonymi twarzami. Ja sam przeszedłem do kwatery mieszkalnych statku, rzuciłem się na koję i starałem się zasnąć. Sen nadszedł dosyć szybko, wywołany przez uspokajający pomruk generatorów, ale razem z nim pojawiły się dręczące koszmary, w których wydawało mi się, że wędruję na ślepo, przez nieskończone otchłanie ciemności, na próżno szukając jakiegoś wyjścia na światło dnia.

---

**K**iedy obudziłem się jakieś sześć godzin później, odniosłem wrażenie, jakby w trakcie mojego snu statek w ogóle się nie poruszył. Nieustanny pomruk generatorów, płynny, spokojny lot, wszystko zdawało się być tak samo jak przedtem. Kiedy jednak wspiałem się ponownie do wieżyczki sternika, aby zmienić Sarto Sena przy sterach, zobaczyłem, że w czasie kiedy spałem gwiazda Alto zwiększyła nieco swoją jasność, przyćmiewając inne gwiazdy, znajdujące się tuż koło niej lub za nią. I przez kolejne godziny mojej wachty w sterówce, zdawało mi się niemal, że czerwone ciało niebieskie rozrasta się na moich oczach, w miarę jak pędzimy w jego kierunku. To jednak, jak doskonale wiedziałem, było tylko iluzją mojego wyczerpanego wzroku.

Ale w miarę jak dzień następował po dniu -- dni bez słońca, bez świtu, dni które mogliśmy odmierzać jedynie za pomocą tarcz naszych zegarów -- purpurowa gwiazda, przed nami, nieustannie intensyfikowała swoją jasność. W międzyczasie, odhaczyliśmy dwudziesty dzień naszego lotu, Alto powiększyła się do tarczy purpurowych płomieni, której ponura jasność przewyciężała światło wszystkich otaczających nas gromad gwiazdnych. Do tego czasu bowiem przebyliśmy już połowę odległości między naszym Słońcem oraz położoną przed nami umierającą gwiazdą, i obecnie pędziliśmy aby pokonać drugą część naszej podróży.

Dni mijały jednostajnie, niemal bez żadnych godnych uwagi wypadków. Dwukrotnie zauważyliśmy olbrzymie obszary czerni, wielkie jamy w eterze, podobne do tej przez którą przelecieliśmy na początku podróży, ale te udało nam się szczęśliwie ominąć, schodząc daleko z kursu, aby obejść je bokiem. Pewnego razu, również, zauważyłem przez krótką chwilę kolosalną czarną kulę, która w mgnieniu oka przemknęła koło naszej trajektorii lotu, a potem, dzięki naszej niesamowitej szybkości, pozostała z tyłu. Tego czarnego wędrowca, mogącego być planetą, która uciekła od swojego słońca, albo wypaloną gwiazdą, widziałem jedynie przez moment. Innym razem nasz statek zabłąkał się w ogromny wir

materii meteorowej, potężną kotłowanąą międzygwiazdowego gruzu wirującego tutaj, między gwiazdami. Wyrwaliśmy się z niego jedynie dzięki sprawności zręcznych dłoni Sarto Sana, spoczywających na sterach.

Jednak poza tymi kilkoma wypadkami, nasze dni były raczej monotonne i niezmiennie. Były to dni w których jedynym zajęciem była opieka nad generatorami i zmieniające się wachty w wieżyczce sterówki. I kiedy tak lecieliśmy przed siebie, opadł na nas jakiś dziwny spokój, zastanawiająca cisza, która przywarła zarówno do moich przyjaciół, jak i nawet do mnie samego. Coś z tego ogromnego odwiecznego milczenia, przez które wędrowaliśmy, jakaś nowa jakość wyłaniająca się z tych bezdrożnych, nieskończonych otchłani kosmosu, zdawała przedostawać się do najgłębszych zakamarków naszych dusz. Zajmowaliśmy się swoimi obowiązkami, jak ludzie we śnie. Zaś podobny do snu charakter naszego życia, zaczął stawać się dla nas czymś normalnym, przynajmniej jak mi się wydaje, powodując że życie ośmiu planet, pozostałych tak daleko za nami, stawało się jeszcze bardziej odległe, nieprawdziwe i nierzeczywiste.

Niemal zapomniałem o misji z powodu której tak pędziliśmy i przez całe długie wachty w sterówce, moje oczy jedynie z ciekawością śledziły stałe powiększanie się położonego przed nami czerwonego słońca. Dzień za dniem, jego płomienisty dysk rozszerzał się coraz bardziej na niebie, tak że w końcu cały pokład krążownika zalany był purpurowym, krwistym światłem, wpadającym przez wszystkie skierowane ku słońcu okna. Potem, w końcu mój umysł powrócił do zastawiania się nad oczekującą nas pracą, ponieważ minęło już ponad trzydzieści dni naszej podróży i między Alto a nami pozostało nie więcej niż sto miliardów mil.

Wtedy wydałem rozkazy, aby zwolnić nasz lot, i z nieco mniejszą szybkością krążownik zaczął wchodzić po skosie, ponad powierzchnię ekliptyki wielkiego słońca, ponieważ moim pomysłem było zajęcie pozycji w punkcie położonym milion mil, prosto nad nim, i tam poczekać nieruchomo towarzysząc mu w jego wyścigu przez kosmos i wykorzystując mocne, małe okna teleskopowe w sterówce, do naszych pierwszych obserwacji. Tak więc przez następne dwa dni, kiedy lecieliśmy w górę, aby zająć miejsce nad gigantycznym słońcem, które stało się dla naszych oczu jednym wielkim morzem purpurowych płomieni, nieustannie posuwało się ono coraz dalej przez kosmos. Instrumenty na zewnątrz statku, pokazywały, że jego ciepło było wielokrotnie mniejsze, niż w przypadku naszego Słońca, ponieważ była to gwiazda umierająca. Nawet w takim przypadku trzeba było nasunąć na wszystkie nasze okna, specjalne osłony tłumiące, tak bardzo oślepiająca była światłość gwiazdy.

---

**C**zterdziestego dnia podróży dotarliśmy w końcu do naszego celu. Sarto Sen, Hal Kur i ja, zebraliśmy się w wieżyczce sternika i zacząłem się przyglądać, znajdującej się poniżej olbrzymiej gwieździe, przez okrągłe peryskopowe dolne okno. Osiągnęliśmy pozycję w przybliżeniu dwudziestu milionów mil ponad Alto, i zmieniliśmy nasz kurs w taki sposób, że teraz

lecieliśmy nad gwiazdą, z taką samą szybkością co ona, podobnie jak mucha unosząca się ponad ziemią. Pod nami rozciągał się tylko jeden wielki ocean purpurowych płomieni, sięgający niemal od horyzontu do horyzontu i wypełniający prawie całe niebo w dole. Kiedy tak spoglądaliśmy na to niesamowite morze ognia, w sterówce zapanowało przerażone milczenie. Zdawaliśmy sobie sprawę, że tylko moc generatorów statku powoduje, że nie zanurkujemy w nie, na łeb, na szyję.

– I niby mamy to przebadać -- coś takiego! – stwierdził Hal Kur, wpatrując się w rozciągające się pod nami ogniste piekło. – Mówili coś, o zmianie kierunku lotu, *tego tutaj!*

Spojrzałem na niego pozbawionym nadziei wzrokiem. W tym momencie jednak, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, rozległ się nagły okrzyk Sarto Sena, który przywołał mnie gestem do siebie. Wyglądał przez jedno z silnych teleskopowych małych okien, w burcie wieżyczki sterówki i kiedy dopadłem do niego, pokazał mi szybko ręką coś na zewnątrz, coś co znajdowało się poza ognistą obręczą leżącego w dole słońca. Popatrzyłem we wskazanym kierunku, wyężając wzrok, aby przebić się przez jasne światło, i szybko znalazłem obiekt, który przyciągnął jego uwagę. To była mała plamka ciemnobrązowego światła, obok tarczy purpurowego słońca. Brunatna niewielka kuleczka, wisząca nieruchomo koło olbrzymiej gwiazdy, w odległości może stu milionów mil, towarzysząca jej w podróży przez kosmos.

– Planeta! – wyszeptałem, a on skinął głową. Potem Hal Kur, który w międzyczasie dołączył do nas, także wyciągnął rękę ze zduszonym okrzykiem, pokazując miejsce gdzie wisiała inna, niewielka kuleczka, w odległości trzy razy większej od pierwszej. W ciągu kilku minut, korzystając z silnych, oprawionych w ramki szkieł, odkryliśmy, że wokół znajdującego się pod nami słońca, krąży nie mniej niż trzynaście planet, towarzyszących mu w jego niesamowitej podróży przez kosmos. Większość z nich poruszało się po orbitach położonych w odległości miliardów mil od matczynej gwiazdy, i żadna nie była tak duża, jak najbardziej wewnętrzna, którą odkryliśmy jako pierwszą. W końcu zdecydowaliśmy się, że najpierw polecimy do tej największej planety. Sarto Sen usiadł więc za sterami i powoli, zaczęliśmy schodzić z zajmowanej pozycji, ponad wielkim słońcem, kierując się z mocno zredukowaną szybkością w stronę najbardziej wewnętrznego globu.

W miarę jak zbliżaliśmy się do niej, kolor planety zaczął się zmieniać z brązowego, do blado-czerwonego. Jej obserwowalne rozmiary rosły w zastraszającym tempie z każdą milą, pokonaną przez nasz pojazd w drodze na dół. Stopniowo, ale jednak nieustannie, Sarto Sen zmniejszał naszą szybkość, aż w chwili, kiedy osiągnęliśmy wysokość kilkuset mil nad planetą, statek poruszał się już w bardzo wolnym tempie. Z zewnątrz zaczął dobiegać wysoki świst wiatru, narastający do poziomu wycia, co w ewidentny sposób mówiło nam, że ponownie poruszamy się w powietrzu, i co za tym idzie, ta planeta przynajmniej musi posiadać atmosferę. Nikt z nas tego jednak nie skomentował, wszyscy bowiem całą naszą uwagę kierowaliśmy na rozwijającą się pod nami panoramę.



Rozciągająca się pod nami planeta, była szkarłatnym światem, zalanym przez szkarłatne światło wiszącego za nami słońca. Ponurym światem, którego góry, równiny i doliny, wyglądały równie krwawo, jak padające na nie światło. Jego jeziora i rzeki odbijały z powrotem w niebo, szkarłatny kolor, który dominował tutaj we wszystkich elementach powierzchni. A w miarę, jak nasz krążownik schodził coraz niżej, zauważyliśmy, że czerwień planety nie była tylko iluzją spowodowaną przez czerwone oświetlenie, ale była jej nieodłącznym atrybutem, ponieważ cała widoczna pod nami roślinność, trawiaste równiny, kłębiące się krzewy i słabo rozwinięte, obco wyglądające drzewa, miały to samo czerwone zabarwienie, wydające się stanowić kluczową cechę tego globu.

Miejsce to wyglądało obco i niesamowicie, ale w dole, na obszernych równinach i jałowych wzgórzach, nie było widać żadnych oznak życia, tak więc Sarto Sen gwałtownie skierował statek w stronę powierzchni planety, pędząc tuż nad ziemią, podczas gdy my skanowaliśmy uważnie wszystkie przewijające się pod nami obszary. Przez długie minuty, nasze wyteżone działania nie przynosiły efektu, potem jednak, daleko przed nami, z ciemnego szkarłatnego światła, wyłonił się jakiś mglisty, kolosalny kształt, w miarę jak zbliżaliśmy się do niego, przyjmujący formę olbrzymiej, strzelistej wieży. Kiedy nasze oczy odkryły ogrom jej rozmiarów, mimowolnie wciągnęliśmy głębiej powietrze. Składała się ona z czterech smukłych, czarnych kolumn, z których każda miała mniej niż pięćdziesiąt stóp grubości, wyrastających z ziemi z punktów oddalonych o pół mili. Czterech potężnych filarów, wznoszących się pod kątem, w skąpane w purpurowym świetle słonecznym niebo, na wysokość pełnych dziesięciu tysięcy stóp. W tej fantastycznej odległości od powierzchni, kolumny spotykały się i łączyły, wspierając razem okrągłą platformę, na której dostrzegliśmy jakieś kształty, wyglądające na maszyny, oraz poruszające się między nimi postaci. Z wysokości na której lecieliśmy, nie byliśmy jednak w stanie rozróżnić, czy te ostatnie należą do ludzi, czy nie. Potem moje spojrzenie powędrowało w kierunku potężnej podstawy wieży i mój okrzyk ściągnął w miejsce, w które wskazywał mój palec, również spojrzenia pozostałych. Ponieważ pod wieżą i wokół niej, rozciągając się daleko po otaczającym ją terenie, gromadziły się stłoczone budynki miasta. Domy były niskie, o płaskich dachach, stwarzały wrażenie całkowitej obcości i podobnie jak ulice przecinające tę stłoczoną masę budynków, całe miasto charakteryzowało się tą samą gładką czernią, co wieża. Wszystko było czarne, głęboko czarne, dachy, ulice i ściany, łącząc się ze szkarłatnymi parkami i ogrodami, rozlewającymi się na tle czerni miasta jak rozbryzgi krwi. A nad tym wszystkim wyrastały cztery potężne kolumny, strzelające ponad ulicami, dachami i ogrodami, jak nogi stojącego okrzakiem giganta. Olbrzymia wieża, wznosząca się w szkarłatne światło słońca.

Sarto Sen wyrzucił swoje ramię w stronę platformy na szczycie stojącej pod nami wieży, oraz poruszających się na niej postaci.

– Zamieszkała! – zawołał. – Czy widzicie? A ten środek, dzięki któremu Alto zmieniało swój kurs, to...

Przerwał nagle, jego głos załamał się w zduszonym krzyku. Na platformie pod nami, nagle pojawiła się iskra intensywnego, białego światła, zmieniając się w promień oślepiającego blasku, strzelający w górę, prosto w nas, który skąpał cały krążownik niezemskim ogniu. I nagle statek zaczął spadać!

Sarto Sen skoczył do sterów i gwałtownie szarpnął za dźwignię mocy.

– Ten promień! – krzyknął. – To promień przyciągający!... On ściąga nas na dół!

Nasz statek wibrował teraz na pełnej mocy swoich generatorów, ale nieustannie opadał, nurkował na łeb na szyję, w stronę znajdującej się pod nami okrągłej platformy. Zauważyłem tylko przelotnie Sarto Sena gorączkowo pracującego przy sterach i usłyszałem ochryply krzyk Hal Kura. Wszędzie wokół nas rozjarzyła się oślepiająco jasna poświata białego światła, a przez okno widziałem platformę pędzącą z zastraszającą szybkością do góry, w naszą stronę. Była już coraz bliżej... i bliżej... i jeszcze bliżej... trzask!

---

### III

**W**ydaje mi się, że przez parę sekund po katastrofie, nikt z obecnych w wieży sterówki, nie zrobił nawet jednego ruchu. Oślepiający promień na zewnątrz statku, zniknął w momencie naszego rozbicia się, a my leżeliśmy rozciągnięci na podłodze niewielkiego pomieszczenia, w miejscach, gdzie rzucił nas wstrząs uderzenia. Po kilku chwilach, czegoś się jednak udało mi się złapać i stanąłem na nogi. Tuż po tym, kiedy to zrobiłem, ze znajdującego się pod nami kadłuba statku, doleciały głośne krzyki, a następnie głośne szczęknięcie, kiedy otworzyły się jedne z dolnych wrót krążownika. Skoczyłem do okna akurat na tyle szybko, by zobaczyć, jak sześciu naszych inżynierów wyskakuje na dole z włazu, wybiega na platformę, na której spoczywał statek i gapi się dookoła z zaskoczonymi oczyma.

Otworzyłem szarpnięciem mały właz na burcie wieżyczki sterówki, chcąc zawołać na nich, żeby wracali do środka, i w momencie kiedy właśnie to zrobiłem, zobaczyłem jak jeden z ludzi ucieka z powrotem na pokład krążownika, tak jakby w przerażeniu. Pozostali wpatrywali się tylko bez przerwy w drugi koniec rozległej platformy i dokładnie w chwili, kiedy miałem otworzyć usta, aby ich ostrzec, uderzyła na nich zagłada. Rozległo się tylko szybkie westchnięcie powietrza i przez platformę przeskoczyła w ich kierunku niewielka kula zabarwionego na różowo ognia. Kula dotknęła

jednego z mężczyzn i błyskawicznie zmieniła się w wirujący kłęb wściekłego płomienia. Zapłonął on tam może na jedną króciutką chwilę. Potem zniknął. Ale w miejscu, w którym stało pięciu ludzi, nie zostało... zupełnie nic.

Stałem oszołomiony i ogłupiały, a moje oczy przesuwają się powoli po powierzchni wielkiej platformy. Stała na niej grupa blisko siebie ustawionych maszyn, wielkich lśniących konstrukcji, o zupełnie nieznanym mi wyglądzie. Pośrodku tego skupiska urządzeń znajdowało się największe z nich, wielka metalowa rura, o długości mniej więcej stu stóp, zamontowana na masywnej podstawie i wycelowana w niebo, jak jakiś wielki teleskop. Jednak to nie te obiekty przyciągnęły moją uwagę, w pierwszej chwili, mojej pełnej zgrozy inspekcji. Przede wszystkim uderzył mnie widok kilkunastu, a może i więcej, groteskowych i straszliwych postaci, stojących razem na przeciwległej krawędzi platformy i odwzajemniających moje spojrzenie.

Byli kulistego kształtu, mieli formę kul zbudowanych z różowego, chorobliwie wyglądającego ciała, o średnicy ponad metra, unoszących się na sześciu cienkich, owadzych nóżkach, o długości nie więcej niż dwunastu cali. Wszyscy posiadali również dwie podobne do siebie, chude kończyny, służące im prawdopodobnie, jako ręce, które wystawały w przeciwległych miejscach ich różowych, kulistych ciał. Pomiędzy tymi rękoma, umocowane bezpośrednio na boku ich okrągłego tułowia, znajdowały się jedyne elementy, które można było uznać za części składowe twarzy -- para sferycznych, czarnych oczu, o dużych rozmiarach, pozbawionych brwi i źrenic, oraz kółko bladej skóry, które trzepotało szybko do środka i na zewnątrz, wraz z ich oddechem.

Stali zupełnie bez ruchu, spoglądając na mnie swoimi nieludzkimi oczyma, a po chwili zauważyłem jeszcze jednego z nich, w niewielkiej odległości za innymi, trzymającego wycelowany w moją stronę niewielki metalowy dysk, z którego, jak się natychmiast domyśliłem, wystrzelił niszczący płomień. Pomimo wszystko, nawet się nie ruszyłem, wpatrując się tylko w drugą stronę platformy, z szaloną zgrozą w duszy.

Gdzieś zza pleców usłyszałem ochryply okrzyk Hal Kura, który podszedł do mnie razem z Sarto Senem i zobaczył to, co ja widziałem. Na ten widok stworzenia stojące po przeciwnej stronie platformy zaczęły wydawać z siebie jakieś dźwięki -- dźwięki sprawiające wrażenie mowy, przy pomocy których wydawali się komunikować się między sobą -- niskie, głębokie dudniące tony, w widoczny sposób wytwarzane przez ich membrany oddechowe. Ruszyli w naszą stronę, nadal trzymując nas na celu tego dysku ogniowego, a następnie jeden z nich zatrzymał się i skinął ręką od nas, do platformy na której stał. Powtórzył ten gest, a jego znaczenie stało się oczywiste. Powoli wyszliśmy z wieżyczki sterówki i zeszliśmy po drabinie na burcie krążownika na samą platformę.

Nasi zwycięzcy wydawali się teraz na chwilę przerwać swoje działania, i miałem dzięki temu krótką chwilę na szybką inspekcję statku. Został strącony przez promień ściągający tych dziwnych stworzeń, upadł jednak na wolną przestrzeń na platformie i jak się wydawało nie doznał zbyt poważnych uszkodzeń, jako że był dosyć solidnie zbudowany, a nasz

upadek nie był długi. Jak zauważyłem dolne wrota na jego burcie nadal były otwarte i teraz kilka z tych kulistych stworzeń weszło przez nie do środka, pędząc naprzód, jak szybkie owady, na swoich sześciu krótkich nóżkach. Zniknęli nam z oczu wewnątrz kadłuba krążownika, wracając za chwilę ze swoimi dyskami ognistymi wycelowanymi w ostatniego z inżynierów, który przedtem uciekł na statek i uniknął zagłady, jaka spotkała jego towarzyszy. Ten człowiek, który nazywał się Nar Lon, był przełożonym sześciu inżynierów, i kiedy jego strażnicy przypędzili go do nas, jego twarz była blada ze zgrozy. Jednak, kiedy zobaczył nas żywych, wydawało się, że nabrał nieco odwagi.

Po tym wydarzeniu dudniąca rozmowa otaczających nas stworzeń urwała się, zaś jedno z nich podeszło do krawędzi platformy i nacisnęło znajdujący się tam przycisk wbudowany w jej konstrukcji. Natychmiast odsunął się na bok okrągły fragment metalowego poszycia, mierzący jakieś dziesięć stóp średnicy, odsłaniając okrągłą ciemną studnię, o tych samych rozmiarach, która najwidoczniej prowadziła w głąb jednej z czterech olbrzymich kolumn podpierających platformę. Na górze tego szybu wisiała mała, kwadratowa klatka z metalu, służąca jako winda, i bez zwłoki zostaliśmy do niej zapędzeni. Dwóch z naszych pogromców weszło do klatki razem z nami, trzymając przez cały czas swoje dyski ogniowe wycelowane prosto w nas. Rozległo się pstryknięcie przełącznika, a potem uderzył nas nagły huraganowy podmuch wiatru i momentalnie klatka śmignęła na dół, z niesamowitą szybkością. Jedynie przez chwilę mknęliśmy przez pełną ryku ciemność, a następnie klatka zatrzymała się i odsunął się położony obok niej fragment ściany, zalewając nas powodzią przyciemnionego szkarłatnego światła. Natychmiast wyszliśmy przez niego, mając za sobą obu naszych strażników.

Znaleźliśmy się u podnóża potężnej kolumny, wzdłuż której zjeżdżaliśmy. Staliśmy na podłodze wielkiego, okrągłego pomieszczenia, hali o płaskim dachu, do której wchodziły i z której wychodziły dziesiątki kulistych stworzeń. Z samego środka pomieszczenia, za naszymi plecami, wyrastał olbrzymi filar o pięćdziesięciostopowej grubości, wznoszący się ukośnie do góry i znikający ponad dachem budynku, dwieście stóp w górze. Poza filarem i śpieszącymi wokół nas we wszystkie strony postaciami, hala była całkowicie ogołocona i pusta, oświetlona jedynie przez wysokie, wąskie szczeliny w ścianach, przepuszczające tylko podłużne, cienkie smugi szkarłatnego światła słonecznego. Usłyszałem jak Hal Kur mamrocze pod nosem, coś o swoim zdumieniu tytaniczną skalą z jaką wszystkie rzeczy zdawały się być planowane na tej dziwnej planecie, a potem doleciały do nas dudniące rozkazy od naszych strażników, którzy wskazywali nam gestem w stronę wysokich drzwi, znajdujących się naprzeciwko nas, w ścianie pomieszczenia. Posłusznie ruszyliśmy poprzez halę w ich stronę.

Po przejściu przez nie, znaleźliśmy się w długim, wąskim korytarzu, widocznie stanowiącym łącznik pomiędzy budynkiem, który właśnie opuściliśmy, a jakimś innym. Po obu jego bokach znajdowały się okna, okrągłe otwory w ścianach, i kiedy szliśmy korytarzem, dostrzegłem przez nie parę obrazków z leżącego wokół nas miasta, widoków czarnych ulic i

szkarłatnych ogrodów, wypełnionych przez masy kolejnych kulistych stworzeń.

Nie udało mi się jednak dostrzec niczego więcej, ponieważ korytarz skończył się i weszliśmy do wielkiej poczekalni, zajmowanej przez kilku kulistych ludzi, co do jednego uzbrojonych w ogniste dyski, które natychmiast w nas wycelowali.

Wywołało to krótką dyskusję pomiędzy nimi i naszymi strażnikami, w efekcie której rozsunęli się na boki, pozwalając nam przejść przez wąskie drzwiczki, do mniejszego pokoju, znajdującego się poza nimi. Jego ściany wypełnione były półkami, na których stały jakieś przedmioty wyglądające na modele maszyn, zupełnie mi nieznanymi z wyglądu. W dalszym końcu pokoju stał podobny do biurka mebel, którego blat zastawiony był kolejnymi modelami i białymi arkuszami czegoś w rodzaju sztywnej tkaniny albo papieru, pokrytymi rysunkami i diagramami. Za nim siedział kolejny z kulistych ludzi, nieco większy od wszystkich, których do tej pory widzieliśmy. Kiedy zatrzymaliśmy się przed nim, obrzucił nas przez chwilę spojrzeniem swoich wielkich, nigdy nie mrugających oczu, a następnie przemówił z głęboką, dudniącą modulacją, do naszych obu strażników. Ci ostatni odpowiadali mu coś szczegółowo, po czym ponownie zaczął się nam przyglądać.

W trakcie tych paru chwil, kiedy tam staliśmy, zauważyłem, że stojący obok mnie Sarto Sen, wydaje się być mocno zainteresowany modelami i pokrytymi diagramami arkuszami, które leżały przed nami na biurku. Teraz, kiedy zdawało się że siedzące za biurkiem stworzenie, zrobiło sobie przerwę, mój przyjaciel przesunął się do przodu i chwycił jeden z arkuszy, oraz leżący obok niego metalowy ołówek. W ciągu kilku chwil zaczął rysować na kartce jakiś model, którego nie byłem w stanie dojrzeć, a kiedy skończył to robić, wręczył ją potworowi za biurkiem. Ten ostatni wziął ją, dokładnie jej się przyjrzał, a potem uniósł swoje oczy na Sarto Sena, z czymś w rodzaju zaskoczenia, wyraźnie widocznego nawet na jego nieludzkiej twarzy. Po chwili wydał jakiś krótki rozkaz i natychmiast jeden z dwóch strażników odsunął Sarto Sena na bok, podczas gdy drugi z nich popędził Hal Kura, Nar Lona i mnie, z powrotem do drzwi. Kiedy wychodziliśmy z pokoju, rzuciłem spojrzenie do tyłu i zauważyłem, że Sarto San nadal znajduje się pod czujnym spojrzeniem swojego strażnika, ale pochylony nad biurkiem, z intensywnym zainteresowaniem, szkicuje jakieś kolejne obliczenia.

I znów znajdowaliśmy się w poczekalni, w której ciągle siedziała straż uzbrojonych kulistych ludzi. Zamiast jednak wrócić korytarzem, którym przyszliśmy tutaj wcześniej, zostaliśmy poprowadzeni przez drzwi po przeciwległej stronie pomieszczenia i ruszyliśmy podobnym długim korytarzem, zatrzymani w końcu przez naszego strażnika, przed niskimi drzwiami w jego ścianie. Po ich otwarciu, skinął wskazując nam ręką, żebyśmy weszli do środka, a ponieważ niosący śmierć dysk w jego rękę, przez cały czas wycelowany był prosto w nas, nie mieliśmy innego wyboru, jak tylko go posłuchać. Weszliśmy więc do kwadratowego pomieszczenia o solidnych ścianach, które było jedynie na wpół oświetlone przez parę podobnych do strzelnic okien w jednej z jego ścian. Drzwi za

nami zamknęły się z trzaskiem, a zasuwę ich mocnego zamka przesunęły się z głośnym szcękaniem metalu. Staliśmy się więźniami -- więźniami na planecie odległej gwiazdy.

I teraz, spoglądając w przeszłość, wydaje mi się, że te dni naszego uwięzienia, które nastąpiły potem, były najbardziej straszliwe, ze wszystkich jakie w ogóle przeżyłem. Działanie, nieistotne jakiego rodzaju, daje przynajmniej jakąś ucieczkę od agonii umysłu, a to na co najbardziej cierpieliśmy tam, w naszej niewielkiej celi, to była agonía. Ponieważ z każdym dniem, każdą godziną, szkarłatne słońce, jakie wisało nam nad głowami, było miliony mil bliżej naszego Słońca. A my, którzy jako jedyni mieliśmy możliwość znalezienia przyczyny zejścia z kursu czerwonego słońca -- siedzieliśmy uwięzieni tutaj, w mieście kulistych ludzi, patrząc na zagładę skradającą się w stronę naszego wszechświata.

---

**G**odzina mijąca za godziną, dzień następował po dniu, upływały bezlitośnie, a my siedzieliśmy uwięzieni. Kolejne dni i godziny mogliśmy odmierzać jedynie obserwując stałe przesuwanie się smug światła słonecznego, padających ukośnie od strony naszych niewielkich okien. Z każdą nocą natomiast, przychodziło zimno, dotkliwe zimno, przeszywające nasze ciała aż do samych kości, zaś pomimo czerwonej jaskrawości, wiszącego w górze, umierającego słońca, dni również były dalekie od gorąca. Dwa razy każdego dnia, otwierały się drzwi naszej celi i strażnik ostrożnie wsuwał nam do środka jedzenie, które składało się z gąbczastej mieszaniny ugotowanych roślin i butelki zabarwionej na czerwono wody, mocno smakującej jakimiś minerałami.

Rozmawialiśmy między sobą, ale niewiele, za wyjątkiem rozważań dotyczących tego, gdzie może być Sarto Sen. Nic o nim nie słyszeliśmy, od czasu kiedy zostawiliśmy go w pokoju, i nawet nie wiedzieliśmy, czy nasz przyjaciel ciągle jeszcze żyje, czy może już nie. Jaki będzie nasz własny los, nie mogliśmy się nawet domyślać, ani, prawdę mówiąc, nie byliśmy tym jakoś specjalnie zainteresowani. Jeszcze kilka miesięcy, a i tak spotka nas śmierć, razem ze wszystkimi innymi stworzeniami na tej planecie, kiedy Alto i nasze Słońce, zderzą się razem. Czy będziemy wtedy jeszcze przy życiu, czy też nie, trudno było uznać za jakąś bardzo istotną kwestię.

Wtedy, dziesięć dni po wzięciu nas do niewoli, pojawiła się pierwsza rzecz, która zburzyła monotonię naszego uwięzienia. Rozległ się grzechot zasuw przy naszych drzwiach. Otworzyły się one i do środka wszedł Sarto Sen. Kiedy stojący na zewnątrz wartownik zamknął drzwi, mój przyjaciel skoczył w moją stronę, z przejętą twarzą.

– Wszystko z tobą w porządku, Jan Tor? – szybko zawołał. – Powiedzieli mi, że nic wam się nie stało, ale bardzo się martwiłem...

Uderzyła mnie ta ostatnia fraza w jego wypowiedzi.

– Powiedzieli ci? – powtórzyłem. – *Oni?*

Potwierdził to, z oczyma utkwionymi w moje.

– Tak, kuliści ludzie – oznajmił po prostu.

Wpatrywałem się w niego, a on szybko podszedł do drzwi, naparł na nie, sprawdzając czy są zamknięte, a następnie wrócił i usiadł między nami.

– Kuliści ludzie – powtórzył poważnym głosem, – te dzieci Altu, te piekielne stworzenia, które zmieniły trasę lotu swojego macierzystego słońca i posłały je w takim kierunku, by zderzyło się z naszym, aby zniszczyć doszczętnie nasz wszechświat.

W czasie naszych głośnych okrzyków oszołomienia i zaskoczenia, milczał, a jego oczy zdawały się spoglądać na ponure obrazy grozy, dla nas niewidoczne. Kiedy ponownie się odezwał, mówił powoli, z zamyśleniem, tak jakby zupełnie zapomniał o naszej tutaj obecności.

– Dowiedziałem się wszystkiego, po co tutaj przylecieliśmy – powiedział. – Odkryłem powód zmiany trajektorii tej gwiazdy. Już nawet wcześniej tego się domyślałem... Jeżeli gwiazda ma planety, a te planety są zamieszkane -- a ich mieszkańcy dysponują najwyższą rozwiniętą wiedzą, najwyższą potęgą -- to czy nie wykorzystaliby tej wiedzy i potęgi do tego, by ratować się przed śmiercią, nawet gdyby oznaczało to śmierć jakiegoś innego wszechświata? I oni dokładnie to właśnie zrobili, tak jak podejrzewałem wcześniej.

– To było tylko podejrzenie. Dzięki niemu wiedziałem jednak dobrze na czym stoję, kiedy byliśmy sprawdzani przez przywódcę kulistych ludzi. Zauważyłem na jego biurku kartki z rysunkami astronomicznymi i sam również wziąłem jedną z tych kartek, aby narysować na niej jakiś prosty diagram, coś co potrafiłyby natychmiast zrozumieć. Był to szkic przedstawiający dwa zderzające się słońca. Dzięki temu przekonałem go o mojej wiedzy i mojej inteligencji, tak że kiedy odesłał was do tej celi, mnie pozostawił sobie, dla dokładniejszego przesłuchania. Potem, przez całe godziny musiałem mu rysować inne szkice, inne diagramy, podczas gdy on przy pomocy gestów, wypytywał mnie na ich temat. To był powolny, skomplikowany i pełen ślepych zaułków sposób komunikacji, ale zawsze był to jakaś forma komunikacji i stopniowo wypracowaliśmy system gestów oraz rysunków, przy pomocy którego byliśmy w stanie wymieniać idee. Tak więc przez następne dni, kontynuowaliśmy naszą komunikację przy pomocy mowy znaków.

– W ten właśnie sposób poinformowałem ich, jesteście gośćmi z innej gwiazdy, ale byłem na tyle ostrożny, żeby nie ujawnić mu, że jesteście dziećmi słońca, w które wkrótce ma uderzyć Alto. Zamiast tego, wymieniłem jako naszą rodzinną gwiazdę Syriusza, wyjaśniając mu że przybyliśmy stamtąd naszym statkiem wibracyjnym, w celach badawczych. Ewidentnie, to właśnie krążownik najbardziej go zainteresował. Naukowcy kulistych ludzi przebadali go, jak sam mi powiedział, i teraz zadawał mi niezliczone pytania dotyczące sposobu jego konstrukcji i zasady działania. Ponieważ, chociaż kuliści mieli statki napędzane ekranami grawitacyjnymi, podobnie do tych naszych z minionych lat, którymi mogli podróżować od planety do planety, nie mieli krążowników międzygwiazdnych, podobnych do naszego. Stąd jego pytania, na które odpowiadałem tak wymijająco, jak tylko umiałem, starając się przekierować temat rozmowy na zbliżającą się kolizję dwu

słońce, która jak stwierdziłem, została przewidziana przez astronomów z naszego wszechświata. Tak jak oczekiwałem, przyniesione przeze mnie wieści na temat nadchodzącej kolizji, nie były dla niego żadną niespodzianką. Jako że, jak sam mi to wyjaśnił mimochodem, kolizja ta była w rzeczywistości skutkiem projektu technicznego, stworzonego przez jego rodaków, kulistych ludzi, dla realizacji ich własnych celów.

– Wydaje się, że ludzie ci zamieszkiwali od wieków na planetach Alto. Początkowo żyli na najbardziej zewnętrznej planecie, miliardy mil od samego Alto, ale było wtedy na niej znacznie bardziej gorąco niż dzisiaj. Na tyle gorąco, że wystarczyło to do życia, dzięki tytanicznym rozmiarom ich słońca i jego niezmiernym zasobom ciepła. Tam też wydobyli się z mroków barbarzyństwa i rozwinęli swoją cywilizację i naukę, do poziomu o jakim nawet im się wcześniej nie śniło. Ale mijały wieki i ich zewnętrzna planeta, zaczęła robić się coraz bardziej zimna i zimna, ponieważ Alto, tak samo jak wszystkie inne gwiazdy, zaczęło się stopniowo ochładzać, kurczyć i umierać, wysyłając w przestrzeń coraz to mniej ciepła. W końcu nadeszły czasy, kiedy planeta kulistych ludzi zaczęła szybko robić się za zimna, dla dalszego życia na niej, i ich naukowcy zabrali się za poszukiwania jakiegoś wyjścia. Naciskani przez konieczność, skoncentrowali wszystkie swoje siły w kierunku wynalezienia ekranów grawitacyjnych, przy pomocy których skonstruowali swoje pierwsze międzyplanetarne statki kosmiczne. Zaczęli je produkować w olbrzymiej liczbie, przewożąc nimi na masową skalę kulistych ludzi na najbliższą planetę, która ciągle otrzymywała od Alto na tyle dużo ciepła, aby można było na niej żyć. Tam więc osiedlili się i ich cywilizacja trwała przez dalsze wieki.

– Powoli jednak, ale nieubłaganie, ich słońce nadal robiło się coraz bardziej chłodne oraz umierało, tak więc pod działaniem praw natury, nieuchronnych tak samo jak techniczne, nadeszły dni kiedy ponownie ich planeta stała się zbyt zimna, dla dalszego na niej przetrwania. Tym razem jednak mieli pod ręką remedium na tę sytuację, i po raz kolejny nastąpiła wielka migracja z ich zimnej planety, na bardziej wewnętrzną i cieplejszą. I w ten sposób, w miarę mijania kolejnych wieków, kiedy ich słońce traciło coraz bardziej na rozmiarach i jasności, uciekali przez wyginieciem, migrując z planety na planetę, poruszając się za każdym razem w kierunku słońca, podchodząc coraz bliżej do jego zamierających ogni.

W końcu, chociaż po bardzo wielu wiekach, stanęli w obliczu ostatecznej zagłady, którą przez taki długi czas oddalali od siebie. Alto nadal się kurczyło, ochładzało, a teraz mieszkali już na najcieplejszej, najbardziej wewnętrznej jego planecie, i nie było już cieplejszego miejsca, do którego mogliby uciec. Za kilka krótkich odcinków czasu, którymi mierzą jego upływ, ich planeta stanie się zamrożonym, pozbawionym życia globem, ponieważ ich słońce w nieuchronny sposób będzie się dalej ochładzać, dopóki nie stanie się jedną z niezliczonych ciemnych gwiazd, martwych i wypalonych słońc, wypełniających niebo. Naprawdę, wydawało się, że tym razem nie ma już żadnej ucieczki przed zagładą.

– Wtedy jednak, pojawiła się między nimi grupa, która wysunęła propozycję o kolosalnym wymiarze. Wskazywali oni, że Alto porusza się



bez przerwy w stronę innej gwiazdy, która jest mniej więcej podobnej wielkości jak ich, ale płonie jasno, dając gorąco i życie, i że w krótkim czasie będą koło niej przelatowali. Ale jeżeli zamiast minąć się bezkolizyjnie, oba słońca wpadną na siebie, to powinny rozbić się jedno o drugie. Jaki będzie skutek czegoś takiego? Oczywiście taki, że zderzenie to uformuje nowe słońce, zamiast dwóch poprzednich -- jedno tytaniczne, jasno płonące słońce, którego gorąco będzie wystarczające, aby przez niezliczone wieki, podtrzymywać życie na wszystkich planetach. Niewątpliwie, najbardziej wewnętrzną planetą układu Alto i dosłownie wszystkie planety układu tej innej gwiazdy, powinny ulec anihilacji podczas kolizji, powinny zginąć w płomieniach wstrząsających słońcami. Ale zewnętrzne planety Alto, krążące po orbitach położonych miliardy mil od niego, byłyby raczej bezpieczne i powinny zająć swoje orbity wokół wielkiego nowego słońca, zamiast Alto. A na tych nowych planetach, kuliści ludzie mogliby istnieć przez całe eony, mając do dyspozycji gorąco swojego nowego wielkiego słońca. To był doskonały plan, i wymagał jedynie tego, aby ich własna gwiazda, Alto, zboczyła nieco ze swojej trasy, na tyle aby uderzyć w drugie słońce, zamiast je minąć.

- Aby to osiągnąć, aby zmienić trasę swojej gwiazdy, kuliści wykorzystali prostą regułę fizyczną. Wiecie, że okrągłe, wirujące ciało, poruszające się przez dowolny ośrodek, zmienia swój kierunek ruchu, kiedy zmienia się prędkość jego obrotu. Kulka tocząca się po gładkim stole, jeżeli w ogóle nie wiruje, będzie poruszać się po linii prostej. Ale jeżeli w czasie toczenia kulka wiruje, porusza się po linii krzywej, przy czym wielkość tej krzywizny i kierunek ruchu, zależą od wielkości i kierunku prędkości obrotowej. Tak więc ich słońce, które przez wieki obracało się z tą samą prędkością, toczyło się przez eter po tej samej odwiecznej, gigantycznej trajektorii, nigdy nie zmieniając swojej trasy. Jeżeli teraz, jak rozumowali, wartość jego prędkości obrotowej zostanie nieco zwiększona, Alto odchyli się nieco w bok od swojego normalnego kierunku ruchu.

Problem polegał więc na zwiększeniu szybkości obrotu ich słońca i aby go rozwiązać, zebrali cały swój potencjał naukowy. Ponad miastem, wzniesiona została potężna wieża, a na jej wierzchołku umieszczono dużą platformę, służącą do zamontowania maszyn potrafiących wygenerować eteryczny promień, albo wibrację, o niewyobrażalnej mocy. Promień ten może być nakierowany na dowolny cel, przy pomocy podobnego do teleskopu, specjalnie do tego celu zbudowanego, miotacza.

- Po zrobieniu tego, czekali już tylko na odpowiednią chwilę, wyliczoną przez ich astronomów, a następnie wycelowali wielki miotacz w tę krawędź swojego słońca, która obracała się w kierunku od nich, i włączyli promień. To był decydujący punkt ich planu, ponieważ w tym momencie ryzykowali istnienie całego swojego wszechświata. Niezbędna była odpowiednia precyzja. Należało zwiększyć szybkość obrotu słońca dokładnie na tyle, aby spowodować jego zejście z trasy, ale gdyby zwiększona ona została choćby odrobinę za bardzo, mogłoby to spowodować katastrofę. Kiedy słońce wiruje zbyt szybko, to rozpada się, jak wielkie koło obrotowe, rozdzielając się na gwiazdę podwójną. Ten proces, znany jako proces

rozszczeplenia, uformował w otaczającym nas kosmosie niezliczone gwiazdy podwójne i spowodował wybuch wielu innych gwiazd. Każda z nich, bowiem, tworzy się jako gwiazda pojedyncza, która następnie rozdziela z powodu swojej zbyt dużej prędkości obrotowej. Kuliści ludzie zdawali sobie sprawę, że wystarczy zaledwie bardzo niewielki wzrost prędkości obrotowej ich słońca, aby spowodować, że ono również rozpadnie się na części. Tak więc z olbrzymią pieczołowitością obserwowali swój oślepiająco jasny promień, uderzający w krawędź słońca, i kiedy, pod niesamowitą siłą tego promienia odpychającego, gwiazda zaczęła obracać się szybciej, natychmiast wyłączyli promień. Był on więc wykorzystywany tylko przez krótką chwilę. Spełnił on jednak swoje zadanie, ponieważ teraz, kiedy ich słońce zaczęło obracać się szybciej, również zaczęło ono schodzić nieco ze swojej zwykłej trasy, i wyliczyli że powinno uderzyć w zbliżające się Słońce, zamiast przejść koło niego. Tak więc, udało im się osiągnąć swój cel i mogli teraz rozpocząć przygotowania do wielkiej migracji na najbardziej zewnętrzną planetę Alto, migracji która miała mieć miejsce tuż przed zderzeniem. I w tym momencie... pojawiliśmy się my.

– Pojawiliśmy się my i teraz już wiemy to, po co tutaj przylecieliśmy, powód zmiany trasy lotu przez Alto. Była to wola i nauka kulistych ludzi, którzy zmienili kierunek lotu swojego słońca, tak że obecnie zagraża ono totalnym zniszczeniem Ośmiu Planet. Działają pod presją zagłady, i aby tej zagłady uniknąć, mają zamiar zniszczyć nasze Słońce, nasze planety i nasz cały wszechświat!

---

## IV

**N**ie pamiętam, aby po tym, kiedy ucichł głos Sarto Sena, ktokolwiek z nas się odezwał. A jednak, chociaż ta cała sprawa niemal nas sparaliżowała, uzyskana wiedza była w pewnym sensie dużą ulgą. Przynajmniej udało nam się odkryć, co spowodowało zejście Alto z kursu, a jeżeli nauka i inteligencja mogły spowodować zmianę trajektorii słońca, to również nauka i inteligencja może skierować je na nią z powrotem.

Kiedy powiedziałem mniej więcej coś podobnego Sarto Senowi, jego twarz wyraźnie się rozjaśniła.

– Masz rację, Jan Torze! – zawołał. – Jest jeszcze szansa! A nawet, jak to przewidział Mur Dak, wykorzystanie tej szansy zależy od nas. Gdyby udało nam się stąd uciec i powrócić do Ośmiu Planet, to będziemy mogli przylecieć tutaj ponownie, z większą siłą, zmiażdżyć tych kulistych ludzi, a

następnie korzystając z ich własnego miotacza pola siłowego, zepchnąć ich słońce z obecnej trasy.

– Ale po co wracać do Ośmiu Planet? – sprzeciwił się Hal Kur. – Dlaczego po ucieczce nie mielibyśmy dostać się na tę platformę i sami użyć ich miotacza?

Sarto Sen pokręcił przecząco głową.

– To jest niemożliwe – powiedział do potężnego inżyniera. – Jeżeli w ogóle uda nam się stąd uciec, to tylko podczas nocy, ponieważ za dnia wszystkie pomieszczenia i korytarze pełne są kulistych ludzi. A w czasie nocy, nie będziemy mogli niczego zrobić, ponieważ słońca, czyli Alto, nie ma wtedy na niebie. Nie możemy także poczekać na jego wschód, tam na platformie, ponieważ nasza ucieczka z pewnością zostanie szybko zauważona i zostalibyśmy na niej zaatakowani. Naszą jedyną szansą jest wydostanie się nocą z celi, przedostanie się na górę, na platformę, a potem błyskawiczna ucieczka naszym statkiem. Jeżeli uda nam się tego dokonać, będziemy mogli pośpieszyć z powrotem do naszego wszechświata i zdobyć pomoc, jakiej potrzebujemy do zmiżdżenia tych kulistych ludzi.

– Ale kiedy powinniśmy podjąć próbę ucieczki? – spytałem i moje serce aż podskoczyło, po usłyszeniu odpowiedzi Sarto Sena.

– Dzisiejszej nocy! Im szybciej się stąd wydostaniemy, tym lepiej. Spróbujemy kilka godzin po zapadnięciu ciemności. – Potem przeszedł do objaśniania szczegółów swojego planu ucieczki, a my słuchaliśmy z uwagą, zaś oczy potężnego Hal Kura błyszczały na perspektywę zbliżającej się akcji. Nasz plan był raczej niezbyt skomplikowany i istniało spore prawdopodobieństwo na to, że gdzieś się zawali, z czego sami dobrze zdawaliśmy sobie sprawę, ale to była nasza jedyna szansa. Jaki schemat działania powinniśmy przyjąć po wydostaniu się na wolność z naszej celi, nawet tego nie dyskutowaliśmy. I tak nie mogliśmy zrobić nic innego, jak tylko wyrwać się stąd i zaufać szczęściu, że przeprowadzi nas przez te tysiące przeszkód, które mogą się pojawić pomiędzy nami, a wieżą z platformą, na której znajdował się nasz statek.

Pozostałe godziny tego dnia, dla mnie osobiście, były chyba najdłuższymi, jakich kiedykolwiek doświadczyłem. Ukośne smugi światła, padającego ze strzelnic okiennych, zdawały się przesuwać przez pomieszczenie, w nieskończenie powolnym, żółtym tempie, podczas gdy my niecierpliwie wyglądaliśmy nadejścia nocy. W końcu, smugi światła pociemniały, a następnie znikły, kiedy umierające słońce na zewnątrz schowało się poza obrębą świata. Obecnie na tę planetę zstąpiła ciemność, i jedynie tu i ówdzie pomiędzy budynkami, na ulicach otaczającego nas niesamowitego miasta, płonęły pojedyncze punkciki czerwonego światła. Ciągłe jednak czekaliśmy, dopóki niewyraźne, na wpół słyszalne dźwięki odgłosów ruchu i dudniącej mowy, na zewnątrz, nie osłabły a potem nie ucichły zupełnie, dopóki jedynym dobiegającym do nas dźwiękiem nie pozostały sporadyczne szurnięcia nóg, pilnującego nas pod drzwiami strażnika.

Sarto Sen wstał, wykonując w naszą stronę znak gotowości, a następnie rzucił się płasko na podłogę, na samym środku celi. Po

przeciwległej stronie pomieszczenia, leżeli Hal Kur i Nar Lon, sprawiając wrażenie że śpią. Zaś między nimi leżał gruby wałek zrobiony z ubrań, przypominający postać kolejnej śpiącej osoby. Po zakończeniu tych przygotowań, podszedłem do drzwi i ustawiłem się tuż koło nich, z jednego boku. Teraz, kiedy zbliżał się moment rozpoczęcia akcji, serce waliło mi jak młotem.

Wszystko było już gotowe i widząc to, Sarto Sen zaczął odgrywać swoją rolę. Leżąc na podłodze, wydał z siebie przeciągły, głęboki jęk. Przez chwilę panowała cisza, a potem ponownie zajęczał. Teraz usłyszałem wyraźnie szuranie nóg za drzwiami, kiedy strażnik podszedł do nich, żeby posłuchać co się dzieje. Sarto Sen znowu straszliwie zajęczał, i po chwili przerwy, usłyszeliśmy grzechotanie rygli zamka, a następnie strażnik zaczął odsuwać drzwi na bok. Przywarłem mocno plecami do ściany, starając się jak najbardziej do niej się przykleić, a po sekundzie drzwi stanęły otworem.

Nawet w panujących ciemnościach, spoglądając w bok, mogłem dostrzec kulistą postać strażnika, jego zaglądające do celi oczy i dysk ognisty, trzymany ostrożnie w gotowości. Przez moment stał nieruchomo, spoglądając na trzy niewyraźne postaci, leżące pod przeciwległą ścianą pomieszczenia, a potem, tak jakby usatysfakcjonowany tym co widzi, przesunął swój wzrok z powrotem na Sarto Sena i jednocześnie zrobił krok do wnętrza celi. A wtedy, jednym skokiem, byłem już na nim.

---

**S**pośród wszystkich walk stoczonych przeze mnie w całej mojej karierze, te zmagania w ciemnościach, ze strażnikami kulistych ludzi, uważam za najbardziej straszliwe. Skoczyłem na niego, stawiając sobie za cel ataku, wyrwanie mu z rąk śmiertelnego dysku ogniowego, zanim zdąży go użyć. Szczęśliwie, siła mojego skoku, wytrąciła mu go z dłoni. Jednak jego krótkie, cienkie ręce, schwyciły mnie z zaskakującą siłą, podczas gdy podobne do owadzich dolne członki, złapały mnie dodatkowo za nogi, i natychmiast przewróciliśmy się na podłogę. Przez chwilę przetaczaliśmy się w szaleńczych zmaganiach, podczas których walczyłem o złapanie uchwytu na gładkim, okrągłym ciełe mojego przeciwnika, i wtedy stworzenie zrobiło coś, co do dzisiaj wywołuje u mnie mdłości, na samą myśl o tym. Otóż, kiedy moje dłonie usiłowały zapiąć klamrę uchwytu na śliskim, chłodnym, kulistym ciełe, ciało to, nagle zapadło się pod moim ciężarem, pękając jak pełen wody pęczerek, i tryskając masą na wpół płynnej, galaretowatej substancji, która zalała podłogę celi błyszczącą i cuchnącą falą. Pomimo, że stworzenia te z wyglądu były mięsiste, to nie były one jednak niczym więcej, jak tylko kulistą skorupą pełną jakiejś wydzieliny.

Mdłości skręcały mnie aż do samego dna żołądka, ale natychmiast podniosłem się na nogi, spoglądając dzikim wzrokiem na innych, którzy śpieszyli mi już z pomocą. Podczas tej krótkiej walki, z gardła naszego strażnika, nie wydobył się żaden okrzyk, i cisza wokół nas, pozostawała

niezakłócona. Sarto Sen już był przy drzwiach, wyglądając na zewnątrz, i w ciągu jednej chwili wydostaliśmy się z celi, niepostrzeżenie przekradając się długim korytarzem. Kiedy opuszczaliśmy celę, moja noga o coś zawadziła. Pomacałem koło niej ręką i podniosłem mały dysk ognisty, należący do naszego strażnika. Kiedy przekradaliśmy się korytarzem, trzymałem go mocno w dłoni.

W długim korytarzu, panował półmrok, rozświetlony jedynie kilkoma czerwonymi lampami, przymocowanymi do ścian. Przed nami jednak, świecił kwadrat jaśniejszego światła. Zdawaliśmy sobie sprawę, że to jest miejsce, w którym korytarz przecinał poczekalnię z gwardzistami. Im bliżej do niej podchodziliśmy, tym ciszej się skradaliśmy, aż w końcu znaleźliśmy się przy framudze otwartych drzwi, zerkając ukradkiem do wnętrza jasno oświetlonej poczekalni.

W środku było w tej chwili nie więcej niż czterech strażników, a dodatku trzech z nich, najwyraźniej spało, odpoczywając z zamkniętymi oczyma na długiej, niskiej ławie, opartej o ścianę. Jednak ten czwarty, chodził nieustannie wokół pomieszczenia, trzymając w ręku, gotowy do strzału, śmiertelny dysk ognisty. Wiedziałem, że musimy przejść przez to pomieszczenie, żeby dostać się do hali z wielkim filarem, jednak próba dokonania tego na oczach tego stworzenia, oznaczałaby naszą natychmiastową śmierć.

Przez moment przycupnęliśmy koło drzwi, nie mogąc się zdecydować, czy zaryzykować wszystko w ataku na tego czuwającego wartownika, kiedy nagle cała sprawa wymknęła nam się z rąk. Kulisty człowiek, krążąc wokół swojego pomieszczenia, podszedł na kilka stóp do drzwi, za którymi się czailiśmy, i dokładnie wtedy, właśnie w tym krytycznym momencie, cisza wokół nas została rozdarta przez dźwięk, który moje uszy odebrały jak grzmot eksplozji. To kichnął Hal Kur!

Po tym dźwięku, kroki strażnika natychmiast zawróciły w naszą stronę i po chwili stanął przed nami, wydając z siebie donośny wrzask, który bezzwłocznie poderwał na nogi pozostałą trójkę. Nasze grupy były równoliczne, czterech na czterech, i zanim oni mieli czas użyć swoich śmiertelnych dysków, już na nich wsiedliśmy. W następnej chwili zapanowało dzikie zamieszanie, kłęb wirujących ciał ludzi oraz kulistych, przetaczających się po całym niewielkim pomieszczeniu, wrzawa ochrypłych okrzyków i dudniąco-brzęczących wrzasków. Czepiając się desperacko jednego z oślizgłych stworzeń, przelotnie dostrzegłem, jak Hal Kur unosi jednego ze strażników w powietrze i rozbija go na twardej podłodze, jak rzucone jajko. Potem potężny skręt mojego przeciwnika wyrzucił mnie na bok, poza walkę.

Podniosłem się chwiejnie na nogi i zobaczyłem, że jeden ze strażników leży na podłodze połamany i martwy, zaś pozostałych trzech wyrwało się z naszych uchwytów i uciekało przez drzwi, przez które tutaj się dostaliśmy. Nagle zatrzymali się i ręka jednego z nich, zaczęła unosić się do góry, z dyskiem ogniowym wycelowanym prosto w nas.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że trzymam coś w ręku, coś co ścisnąłem przez całą tę bijatykę, coś okrągłego, cienkiego i twardego, z wystającym przyciskiem na boku. Instynktownie, zupełnie bez namysłu,

podniosłem ten przedmiot, celując nim w stronę walczących z nami strażników, i nacisnąłem na ten przycisk. Wydawało się, że w wyniku tego, z mojej ręki wyskoczyła mała kulka różowego ognia, przeskakując z westchnieniem powietrza i uderzając prosto w grupę kulistych ludzi. Rozległ się ryk buchającego płomienia, który na mgnienie oka rozbłysnął wściekłym różowym ogniem, a potem zarówno płomień, jak i strażnicy zniknęli.

Odwróciłem się i razem z moimi przyjaciółmi, pobiegliśmy, zataczając się, do drzwi. Teraz jednak, gdzieś daleko z tyłu, słyszeliśmy już głębokie dudniące okrzyki i szuranie szybkich kroków. Wiedzieliśmy więc, że ucieczka została zauważona, oraz że naszą jedyną szansą jest dotarcie do wielkiego filaru i znajdującej się na nim windy, zanim zostaniemy od niej odcięci. Pobiegliśmy więc korytarzem, z największą możliwą szybkością, nie tracąc oddechu na rozmowy. Krzyki za nami szybko robiły się coraz głośniejsze i bliższe, a gdzieś w naszym pobliżu nagle zahuczał donośny dźwięk gongów. Wtedy jednak wpadliśmy, już na nic nie zważając, do wielkiej hali. Na szczęście stwierdziliśmy, że jest zupełnie pusta, głęboki mrok w jej środku rozpraszany jest tylko przez kilka drżących punkcików światła. Z panujących w górze ciemności wyłaniał się ogromny trzon wielkiej, ukośnej kolumny, i dobywając z siebie resztek sił, zataczając się, pobiegliśmy przez halę w jej kierunku.

Drzwi w boku filara były otwarte i wpadliśmy przez nie z pośpiechem, tłocząc się w klatce windy. Wrzawa pościgu przez cały czas rosła w siłę, z zastraszającą prędkością. Nerwowo zacząłem poruszać dźwigniami w boku klatki, których jak widziałem wcześniej, używali nasi zwycięzcy. Nastąpiła chwila szarpiącego za serce opóźnienia, a następnie, jak się wydawało tuż zanim gwar pościgu wpadł do wnętrza hali, przełącznik pod moimi palcami kliknął głośno i natychmiast nasza klatka z niesamowitą szybkością pomknęła szybem, do góry, zmierzając w stronę znajdującej się na szczycie platformy.

Minęła zaledwie chwila tej grzmiącej podróży, a winda zwolniła i zatrzymała się. Znajdowaliśmy się w absolutnej ciemności, ale przed odsunięciem na bok fragmentu platformy nad naszymi głowami, wyszeptalem z napięciem do pozostałych:

- Na platformie będą strażnicy - powiedziałem im, - ale musimy im uciec i natychmiast dostać się do statku. To nasza jedyna szansa, ponieważ na pozostałych filarach, także muszą mieć windy. Ci którzy za nami gonią, przy ich pomocy też szybko się dostaną na górę.

Z tymi słowami, nacisnąłem na dźwignię, która otworzyła nam nad głowami fragment platformy. Natychmiast odsunął się on na bok, z metalicznym zgrzytem, który spowodował, że serce zupełnie mi stanęło. Z góry nie było jednak słycać żadnych odgłosów alarmu, tak więc po chwili wyczekiwania w napięciu, cicho wyszliśmy z klatki i stanęliśmy na samej platformie.

Staliśmy w pobliżu krawędzi platformy, która była tylko częściowo oświetlona przez łąty rudawego światła z kilku zawieszonych nad nią latarni. Daleko w dole, w niemal zupełnych ciemnościach, leżało miasto kulistych ludzi, którego zarysy podkreślały jedynie rzadkie koraliki

migoczących, szkarłatnych świateł. W górze, rozciągało się cudowne niebo, pokryte klejnotami gwiazd, pomiędzy którymi potrafiłem rozpoznać jasne, żółte ciało niebieskie, Słońce Ośmiu Planet. Natychmiast jednak skierowałem swoją uwagę z powrotem na platformę i przyglądając się ciemnym, zagadkowym mechanizmom, piętrzącym się wokół nas, zauważyłem długi, połyskujący kształt naszego krążownika, nadal leżącego na pustym miejscu, na które spadł. Zawieszona obok niego latarnia zalewała platformę swoim czerwonym światłem, a pod nim zebrało się trzech kulistych ludzi, badających uważnie jakiś leżący na platformie mały mechanizm.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy te stworzenia odkryły tajemnicę budowy naszego statku, oraz jego działania, ale potem zapomniałem o moich rozterkach, ponieważ zaczęliśmy po cichu podkradać się w ich kierunku. Kiedy przepęźaliśmy koło niewielkiej sterty grubych, metalowych słupków, każdy z nas brał sobie jeden z nich i odczołgiwał się dalej. W chwili, kiedy podkradliśmy się już tylko na kilkanaście kroków od niczego nie podejrzewających kulistych ludzi, wszyscy jednocześnie zerwaliśmy się na nogi i ruszyliśmy na nich, z uniesionymi maczugami.

Nasz atak był tak szybki i niespodziewany, że pracująca trójka zdołała zaledwie odwrócić się w naszą stronę, na wpół unosząc swoje dyski ogniste, a już nasze ciężkie pałki wbiły się od góry ich okrągłe, miękkie ciała, powalając ich na podłogę, w kałuży wypływającej z nich masy. Odrzuciliśmy trzymaną w ręku broń i skoczyliśmy w stronę krążownika.

Dolne wrota były otwarte, i błyskawicznie znaleźliśmy się w środku.

Natychmiast Sarto Sen pomknął po schodach do wieżyczki sterówki, podczas gdy Hal Kur i Nar Lon pobiegli do pomieszczenia generatorów. Ja zostałem, żeby zatrzasnąć z hukiem ciężkie wrota, co automatycznie uruchomiło pracę dudniących pomp obiegu tlenu, a potem również pośpieszyłem po schodach. Jeszcze zanim dobiegłem na samą górę, usłyszałem coraz głośniejszy, znajomy pomruk generatorów wibracyjnych, buczących szybko zbierającą się energią. Wkrótce dopadłem wieżyczki sterówki, gdzie Sarto Sen pracował pośpiesznie nad przełącznikami i przyciskami.

W chwili, kiedy wpadłem do małego pomieszczenia, z zewnątrz doleciał niespodziewany głośny zgrzyt metalu, i kilkanaście podniesionych, buczących okrzyków. Skoczyłem do okna i na drugim krańcu oświetlonej na czerwono platformy, zobaczyłem masę ciemnych kulistych postaci, które nagle wylały się na wierzchołek wieży, z windy zamontowanej w innym filarze. Ruszyli biegiem w naszym kierunku, słysząc pomruk generatorów krążownika, ale po chwili zatrzymali się w miejscu. Ich ogniste dyski uniosły się w górę, i w naszą stronę wyskoczyło kilkanaście kul niszczycielskiego płomienia. Ale w chwili kiedy wystrzelili, do moich uszu dobiegło pośpieszne pstryknięcie przełączników pod rękoma Sarto Sena, rozległ się nagły ryk wichru, zaś oświetlona na czerwono platforma i wszystko co się na niej znajdowało, zniknęły nam z pola widzenia, kiedy nasz statek pomknął ponownie w próżnię przestrzeni kosmicznej.

---

## V

**Z**awsze, kiedy wspominam tygodnie naszego lotu do domu, wydaje mi się, że nasza pośpieszna podróż przez kosmos, trwała i trwała, niemal przez nieskończenie długi czas. Pamiętam również, że podczas lotu nieustannie walczyliśmy ze snem. Było nas obecnie tylko czterech, do obsługi całego krążownika, a przecież same generatory wymagały nieustannego dozoru przez dwóch z nas, zaś kolejny musiał stać na wachcie w wieżycze sterówki. Oznaczało to, że podczas lotu statku, każdy z nas mógł złapać zaledwie parę godzin snu na dobę, i to w nieregularnych odstępach czasu. Pomimo tego wszystkiego, wydaje mi się, że i tak nie dalibyśmy sobie rady, gdybyśmy mieli jakiegoś innego inżyniera, a nie Nar Lona. Nar Lon, jako główny inżynier, jeśli chodzi o wiedzę i doświadczenie, wart był co najmniej trzech innych.

Tak więc przez cały czas pędziliśmy z pełną szybkością, zaś Alto kurczyło się za nami, zmniejszając swoje rozmiary, podczas gdy jasna gwiazda z przodu, nasze Słońce, płonęła z coraz większą jasnością. Przez długie godziny moich wacht w wieżycze sternika, obserwowałem czerwoną i żółtą gwiazdę, z nieustannym, narastającym niepokojem, ponieważ dobrze wiedziałem, że z każdą sekundą znajdują się one coraz to bliżej i bliżej siebie, oraz zagłady Ośmiu Planet.

Generatory naszego krążownika mrucały bez przerwy, działając z najwyższą mocą, zaś krążownik mknął w kierunku Słońca z prędkością światła. Z pewnością, nigdy jeszcze od zarania dziejów, nie było tak dziwnej podróży jak nasza. Podróży od gwiazdy do gwiazdy, statkiem popychanym do przodu przez niewidoczne drgania, z załogą złożoną z czterech wynędzniałych ludzi o płonących oczach, ścigających się z czasem, aby zanieść wieści, od których zależał los wszechświata. Podróż w tamtą stronę, miała charakter marzenia sennego, ale ta podróż do domu przypominała raczej niekończący się dręczący koszmar. W końcu, jednak, w zasięgu wzroku pojawił się jego koniec i stopniowo zaczęliśmy zmniejszać szybkość, kiedy zbliżaliśmy się do naszego wszechświata. Z czasem odebraliśmy nasze pierwsze telestereo, wywołanie z krążownika Patrolu Międzyplanetarnego, gdy na zewnątrz orbity Neptuna, poruszaliśmy się już z szybkością zaledwie paru milionów mil na godzinę. Kiedy podaliśmy swoją tożsamość, przez Układ Słoneczny pomknęły jednak uprzedzające rozkazy dla ruchu międzyplanetarnego, aby oczyścić szlaki kosmiczne między nami, a Ziemią, tak żebyśmy mogli pędzić dalej w stronę zielonej planety z pełną szybkością, bez zagrożenia kolizją. I tak, w końcu, nasz statek zaczął stopniowo z powrotem schodzić ku



powierzchni ziemi nad Gmachem Planet, kierując się na to samo lądowisko, z którego wystartowaliśmy w naszą tak istotną podróż.

Walcząc ze zmęczeniem, które w każdej chwili mogło mnie zwalić z nóg, wykuśtykałem z krążownika, wpadając w ręce oczekujących na lądowisku ludzi i już pięć minut później wspiałem się chwiejnie na podium, na którym Mur Dak stał przed pośpiesznie zebraną Radą. Kiedy znalazłem się na górze, zataczając się lekko ze skrajnego wyczerpania, przemówiłem do Mur Daka i Rady, relacjonując w zwięzłych zdaniach, wydarzenia dotyczące naszej podróży i odkrycia jakie poczyniliśmy. Kiedy skończyłem, zasalutowałem, zszedłem z podium i opadłem bezwładnie na fotel, a w całej olbrzymiej sali, zapanowała całkowita, grobowa cisza. Przerwało ją jedno gremialne westchnienie, kiedy Mur Dak zrobił krok naprzód, aby przemówić.

– Usłyszeliście państwo wszyscy sprawozdanie Jan Tora – oznajmił, równie spokojnym głosem, jak zawsze. – Wiemy więc już dzisiaj, jakiego rodzaju zagłada nam zagraża i jakie mamy szanse na jej odwrócenie. Teraz jednak musimy podjąć decyzję. Jak zapewne wiecie, w czasie kilku ostatnich tygodni, nasi naukowcy zaangażowali się w budowę wielu setek nowych krążowników wibracyjnych, podobnych do tego wykorzystywanego podczas wyprawy przez Jan Tora. Wkrótce więc te krążowniki będą już gotowe, i mogą wtedy zostać przez nas użyte, na jeden z dwóch sposobów.

– Możemy je wykorzystać do uratowania niewielkiej części naszych rodaków, ponieważ na tych statkach kilka tysięcy ludzi może uciec do jakiejś innej gwiazdy. Wtedy jednak resztę z nas czeka nieuchronna zagłada, razem z naszym wszechświatem, kiedy oba słońca spotkają się. Albo możemy wykorzystać je nie do ucieczki, lecz do walki, lecąc na nich na tę planetę gwiazdy Alto, atakując tych kulistych ludzi i używając ich własnego miotacza promienia siłowego, do tego by spróbować zmienić trasę Alto, zanim ono zniszczy nas. I to jest właśnie decyzja, którą musimy podjąć, decyzja na której zawisły losy ludzkiej rasy. Czy nieliczni z nas powinni uciec na nowych krążownikach, do innego wszechświata, pozwalając zbliżającej się gwiazdzie zniszczyć nasze Słońce? Czy też powinniśmy wysłać je na Alto i zaryzykować jedną desperacką próbę zmiany trasy lotu zbliżającego się słońca, tak by uratować Osiem Planet?

I znowu zapadła cisza, gęsta i ciężka, przesiąknięta fatum zagłady wszechświatów, przeznaczenia słońc. Poczułem, że w nieodparty sposób zaczyna mnie ogarniać sen, i chociaż zmuszałem się do trzymania moich zmęczonych powiek, szeroko otwartych, to jednak ześlizgiwałem się coraz głębiej i głębiej, w senne otchłanie zapomnienia. Mgliście, jak gdyby z jakiej niesamowicie dużej odległości, usłyszałem potężny okrzyk podnoszący się z gardeł zebranych wokół mnie członków Rady. Potem, tuż zanim opadła na mnie zasłona kompletnej nieświadomości, hałas opadł na krótką chwilę i w tym momencie usłyszałem głos Mur Daka, silny i dźwięczny:

– Rada podjęła decyzję – oznajmił. – Kiedy budowa krążowników zostanie ukończona, flota wystartuje natychmiast -- *na Alto!*

---

**T**rzy tygodnie, które upłynęły między naszym powrotem, a wyruszeniem wielkiej floty, bez wątpienia były najbardziej szaleńczym okresem w historii Ośmiu Planet. Nasi naukowcy wyliczyli, że jeżeli mamy uratować nasz wszechświat, Alto musi zostać zepchnięta z kursu najpóźniej w ciągu kolejnych pięćdziesięciu dni, w przeciwnym przypadku będzie już za późno, ponieważ nawet jeżeli po tym dniu umierające słońce skręci w bok, to mimo wszystko zderzy się przynajmniej z częścią Układu Słonecznego, niszcząc ją zupełnie. Musimy więc dostać się do miotacza promieni, na planecie krążącej wokół Alto i użyć go, przed końcem pięćdziesiątego dnia, albo będzie za późno. Dlatego właśnie przez pierwszych dwadzieścia dni z tych pięćdziesięciu, wszystkie inne prace na terenie Ośmiu Planet zostały odłożone i cały wysiłek skoncentrowany na dokończeniu krążowników. Każda planeta dostarczyła dla floty własnego kontyngentu i na każdej z Ośmiu Planet ludzie w laboratoriach i fabrykach pracowali, aż do całkowitego wyczerpania, podczas gdy inni czekali w gotowości, żeby zająć ich miejsce. Błyskawicznie krążowniki, w liczbie ponad tysiąca, doszły do etapu zakończenia ich budowy, a teraz były wyposażane w broń zaprojektowaną dla nich przez naukowców, śmiertelne błękitne promienie, które miały dostatecznie dużą moc, aby wzbudzać tak niesamowicie silne ruchy atomów, w każdej cząsteczce materii, której dotknęły, że jakakolwiek materia przez nie trafiona, zniknęła pod nimi, rozpadając się w mgnieniu oka na wyjściowe atomy, z których była zbudowana.

W trakcie nocy, ludzie zamieszkujący każdą z planet, widzieli teraz nad swoimi głowami, jak wielką groźbę z niebios, ognistą tarczę Alto, rosnącą, rosnącą, zalewającą swoją szkarłatną jasnością całe Osiem Planet, wiszącą na niebie, jak wielka krwawa pieczęć. Ale pod tą szkarłatną oznaką śmierci, szaleńczo wrzała praca. Jednak na wszystkich naszych planetach, śmiech w promieniach słońca, radość i wolność, zdawały się być rzeczami, które odeszły już na zawsze. Na całych Ośmiu Światach położył swoje skrzydła gigantyczny cień strachu.

W mojej pamięci bardzo wyraźnie utkwilo jedno wydarzenie z tego czasu grozy. Miało ono miejsce trzeciego dnia, po naszym powrocie. Mur Dak wezwał nas wtedy ponownie do Gmachu Planet, tym razem do swojego biura, i tam, w imieniu Rady Światów, formalnie powierzył mi stanowisko dowódcy wielkiej floty, która była w trakcie tworzenia. Nikogo na Ośmiu Planetach, nie mógłby spotkać większy zaszczyt, i byłem w stanie wyjąkać jedynie kilka słów podziękowania. Następnie przewodniczący zwrócił się do Sarto Sena, z informacją, że został mianowany zastępcą dowódcy. Jednak, ku naszemu zaskoczeniu, mój przyjaciel nic nie odpowiedział, na chwilę odwracając się od nas i kierując swoje spojrzenie ku oknu. Kiedy ponownie na nas spojrzął, oświadczył tylko cichym głosem:

– Nie mogę zaakceptować tego stanowiska.

Patrzyliśmy na niego z pełnym zaskoczeniem, zaś Mur Dak zapytał:

– Jakie są tego powody?

– Nie mogę tego powiedzieć... teraz – odparł mój przyjaciel i nasze zdumienie jeszcze się pogłębiło.

Po tych słowach twarz Mur Daka nagle zrobiła się ponura, a w oczach pojawiła się pogarda.

– Czy to jest możliwe, że pan się boi? – spytał.

Na twarzy Sarto Sena wyrósł głęboki rumieniec, ale nic na to nie odpowiedział. Przez chwilę stawiał nam tylko czoła samym spojrzeniem, a potem odwrócił się do drzwi. Zakłęcie zaskoczenia, które mnie paraliżowało, wtedy nagle pękło i pobiegłem za nim, przytrzymując go za ramię.

– Sarto Sen! – zawołałem i nie mogłem wypowiedzieć ani słowa więcej.

Na w pół odwrócił się do mnie, jego twarz nieco zmiękła, a potem gwałtownie okręcił się i wyszedł przez drzwi, zostawiając mnie stojącego w bezruchu.

Inni popatrzyli na mnie z pewnym współczuciem, ale widząc niedolę na mojej twarzy, nie wygłaszali żadnych uwag na temat tego, co się przed chwilą stało, i bez jakichkolwiek dodatkowych komentarzy, moim poręcznikiem mianowano Hal Kura. Później dowiedziałem się, że Sarto Sen, razem z Nar Lonem i paroma innymi jego asystentami, odlecieli naszym starym krążownikiem, do swoich laboratoriów na Wenus.

Gdyby mój czas należał do mnie, poszukałbym go tam, ale w tej chwili krążowniki naszej floty były już niemal gotowe, i mój cały czas zabierały sprawy związane ze szkoleniem pilotów, którzy mieli zająć się lataniem nimi. Na szczęście stery nowych statków były dosyć proste. W praktyce różniły się bardzo niewiele od swoich odpowiedników z naszych zwykłych międzyplanetarnych statków kosmicznych. Tak więc, chociaż czas jaki pozostał do naszej dyspozycji, był bardzo krótki, okazał się wystarczający dla przeszkolenia wybranych ludzi. I tak, w końcu nadszedł dwudziesty dzień po naszym powrocie i nocą wielka flota wystartowała w swoją najważniejszą podróż.

Zaplanowaliśmy, że krążowniki z każdej planety, będą lecieć w odrębnych grupach, poza Neptuna, gdzie wszystkie miały się spotkać i wspólnie podjąć dalszy lot na Alto. Tak więc kontyngent statków z Ziemi miał tej nocy wystartować z wielkiej równiny, za Gmachem Planet. Ludzie ze wszystkich zakątków Ziemi zebrali się tam, by obserwować nasz odlot – olbrzymi, milczący tłum, przyglądający się naszym statkom, mając jasno wypisane na twarzach, że w naszych rękach trzymamy jedyną nadzieję na ich życie. A wysoko, ponad naszymi głowami, błyszczała jasno mała plamka krwisto-czerwonego światła. Alto, słońce które było celem naszej wyprawy.

Stojąc z Hal Kurem i swoim pilotem, w wieżycze sterówki mojego okrętu flagowego, po naszym łagodnym starcie, obserwowałem pozostającą za nami w tyle, powierzchnię ziemi. Stopniowo coraz bardziej przyśpieszaliśmy. W miarę jak szara, stara planeta, oddalała się od nas, moje serce skręcała myśl, że tym razem Sarto Sen nie wyruszył razem z nami na wyprawę. Potem jednak towarzyszące nam statki, po kolei również wystartowały i zajęły swoje pozycje, a później pomknęliśmy jak

strzała przez Układ Słoneczny, na spotkanie za Neptunem. Kiedy znaleźliśmy się w wyznaczonym miejscu, zatrzymaliśmy się. Nasze krążowniki wisały w przestrzeni, niedaleko za lodową planetą. Czekaliśmy zaledwie kilka minut, po których pojawiła się za nami chmura ciemnych punkcików, śpieszących szybko w naszą stronę, rozpadając się na formacje krążowników, zajmujących miejsce tuż za nami. To była flota z Marsa, a za nią przybyły w krótkich odstępach czasu kontyngenty z Urana i Wenus. Z położonego za nami arktycznego Neptuna, dotarły statki z tej planety, zajmując swoje miejsce tuż przed grupą z otoczonego pierścieniami Saturna. Następnie, w końcu i w tym samym czasie, dołączyły do nas ostatnie dwa kontyngenty. Jeden niewielki, złożony z paru krążowników z Merkurego, drugi, to potężna flota z Jowisza. W sumie unosiło się tutaj w przestrzeni, ponad tysiąc krążowników, wszystkie siły Ośmiu Planet.

Wydałem przez telestereo rozkaz, który błyskawicznie obiegł całą flotę, i ogromna armada zorganizowała się w formację wielkiego trójkąta, o szerokości tysiąca mil, przy podstawie, z moim statkiem ustawionym na wierzchołku. Kolejny rozkaz i cała olbrzymia flota ruszyła płynnie do przodu, z jednakową prędkością. Prędkością, która szybko wzrastała, kiedy mknęliśmy przez eter, z coraz większą i większą mocą generatorów, w kierunku widniejącej przed nami czerwonej gwiazdy. Siły ludzkości zebrały się razem i wyruszyły na swoją najważniejszą bitwę, żeglując przez przestrzeń międzygwiazdową, aby podjąć walkę ze zbliżającą się zagładą, stawiając w tym wielkim rzucie kości, życie lub śmierć naszego wszechświata.

---

**S**tojąc obok naszego pilota, w wieżycze sternika mojego statku flagowego, Hal Kur i ja wyglądaliśmy przez szerokie przednie okno, obserwując jak Alto rozrasta się na cały kosmos, w miarę naszego dalszego lotu w jego stronę. Od pewnego czasu płonęło na niebie przed nami, jak wielki ogień, ponieważ już od czterech długich tygodni, nasza flota zmierzała w jego stronę, z głośnym pomrukiem pracujących na pełnej mocy generatorów. Teraz w końcu, trzydziestego dnia naszej podróży, jej kres znalazł się już tuż przed nami, i zaczęliśmy przygotowywać się do lądowania w mieście kulistych ludzi.

Plan, który opracowaliśmy, był dosyć prosty. Mieliśmy spaść na nieprzyjaciół zniemacka i podczas kiedy większa część naszej floty zajęłaby się atakiem na samo miasto, kilka wybranych okrętów wylądowałoby na platformie wielkiej wieży, biorąc w posiadanie znajdujący się tam emiter promienia. Nasi naukowcy mieli później wystrzelić z niego w Alto, w celu wywołania ponownej zmiany trajektorii ruchu wielkiego słońca. Wiedziałem, że musi się to stać jak najszybciej, ponieważ to dzisiaj właśnie upływał pięćdziesiąty dzień, wyznaczający limit czasu, jaki mieliśmy do dyspozycji. Jeżeli nie wykonamy naszego zadania, zepchnięcia z kursu wielkiego słońca, do godziny dziesiątej dnia

dzisiejszego, to, jak wyliczyli nasi naukowcy, Alto pomimo wszystko przejdzie na tyle blisko Układu Słonecznego, aby spowodować szereg kolizji pomiędzy planetami krążącymi wokół niego, na dalszych orbitach, i planetami naszego Słońca. Zniszczyłoby to nasz układ. Na wykonanie zadania, pozostało nam wobec tego nie więcej niż dwanaście godzin.

Teraz, kiedy zmierzaliśmy już prosto w stronę wiszącego przed nami, ponurego, olbrzymiego słońca, jego widok nadwątlił nieco moją odwagę i zaczęły mnie trapić poważne wątpliwości. Dziwny postępek Sarto Sena już wcześniej zamącił mi poważnie w głowie i teraz kiedy popatrzyłem za siebie, przez tylne okno sterówki, widząc ciągnące się daleko wstecz punkciki światła, stanowiące jedyne widoczne oznaki lecącej za nami wielkiej floty, z pogłębiającym się niepokojem, poczułem brzemień mojej odpowiedzialności jako jej dowódcy.

Nie mam najmniejszego pojęcia, jak długo tak stałem wpatrzony w okno, w takim głębokim zamyśleniu, ale w końcu z tego stanu wyrwał mnie nagły okrzyk Hal Kura. Potężny inżynier, ze zdumieniem na twarzy, wpatrywał się z napięciem przez przednie okno teleskopiczne, prosto w ognisty dysk wiszącego przed nami słońca. Po chwili przywołał mnie do swego boku i wyjrzałem razem z nim przez teleskopiczne szkło.

Nawet poprzez lekko przyciemniające osłony, które nasunęliśmy na wszystkie okna statku, jaskrawe światło, gorejącego przed nami wielkiego słońca, było nieomal oślepiające. Moje oczy jednak szybko przyzwyczyliły się do niego, i po krótkiej obserwacji przez okno powiększające, złapałem głęboko powietrze w płuca. Ponieważ na tle szkarłatnego dysku Alto, dostrzegłem chmurkę ciemniejszych punkcików, niewielki rój, który zdawał się nieustannie powiększać. Obserwowałem je wstrzymując dech, i wkrótce już nie można było mieć wątpliwości, że coraz bardziej się do nas zbliżają. Zwiększały szybko swoje rozmiary, również z tego powodu, że i my pędziliśmy im na spotkanie. W tej chwili, oglądane przez okno powiększające, zaczęły nabierać już określonych kształtów. Nabierać kształtów gładkich, podobnych do ryb, kadłubów statków.

Hal Kur zakręcił się wokół mnie, a z jego oczu tryskały płomienie.

– To są statki! – zawołał na całe gardło. – Krążowniki międzygwiazdne, takie jak nasze! Ci kuliści ludzie, mają swoje własne krążowniki!

Na ten okrzyk zdawało mi się, że coś na chwilę wstrzymało bicie mojego serca. Widoczne przed nami krążowniki, mogły pochodzić wyłącznie z Alto, musiały więc być obsadzone przez kulistych ludzi z planet tego słońca. W czasie kiedy my siedzieliśmy zamknięci w celi, oni badali budowę naszego krążownika, zrozumieli ją i skopiowali dla swoich własnych celów. Zaś wykorzystując czas naszego lotu do domu, zbudowali własną wielką flotę krążowników międzygwiazdnych, domyślając się, że nasza ucieczka, będzie oznaczała po pewnym czasie, atak na nich samych. A teraz wylecieli nam naprzeciw, aby odeprzeć ten atak, jeszcze tutaj w przestrzeni międzygwiazdnej. Tak więc dwie wielkie floty kosmiczne leciały frontalnie, prosto na siebie, zmierzając nieuchronnie w stronę wielkiej bitwy, która miała rozegrać się między gwiazdami!

Przez chwilę stałem tam, kompletnie oszołomiony, a potem odwróciłem się do telestereo, które przetransmitowało moje rozkazy dla naszej floty.

- Wszystkie statki, przygotować się do bitwy! - ogłosiłem, tak spokojnym głosem, jak to tylko było możliwe. - Zredukować stopniowo szybkość do stu mil na godzinę, utrzymując ten sam szyk, aż do otrzymania kolejnych rozkazów.

Z położonego przede mną pokładu naszego krążownika, dobiegły natychmiast odgłosy biegających stóp i okrzyki ochrypłych głosów, którym towarzyszyły zgrzyty i szczękanie metalowych części, w pośpiechu przygotowywanych do działania, emiterów promieni na burtach statku. Nasza prędkość teraz szybko opadała, i kiedy spojrzałem do przodu, zauważyłem, że kuliści ludzie również w widoczny sposób zredukowali tempo swojego lotu. Poruszali się w naszą stronę znacznie wolniej, uformowani obecnie w dwie krótkie kolumny. Wiedzieli, równie dobrze jak my, że jeżeli obie floty wkroczyłyby do akcji na maksymalnych prędkościach, nie byłyby w stanie nawiązać dłuższego kontaktu bojowego między sobą, a oni szukali decydującego rozwiązania, tak samo jak i my.

---

**P**owoli, a z każdą chwilą nawet jeszcze coraz wolniej, obie floty poruszały się w swoim kierunku. Teraz zbliżające się wrogie krążowniki można było już wyraźnie dostrzec. Były bardzo podobne w konstrukcji do naszych statków, miały jedynie nieco krótsze i grubsze kadłuby. W jasno oświetlonych wieżyczkach sterówek, wyraźnie było widać pilotujących je kulistych ludzi. Lecieli frontalnie na wprost nas, my również podążaliśmy im frontalnie na spotkanie. Wtedy, kiedy obie floty znalazły się niemal w punkcie zderzenia się nosami, z nadciągających krążowników skoczyła w naszym kierunku fala kul niszczycielskiego różowego ognia.

Spodziewałem się tego, i w momencie kiedy nasi wrogowie wystrzelili, spokojnie wypowiedziałem przez telestereo jedno słowo. Natychmiast mój krążownik, tak samo jak i cała reszta naszej floty, zmieniły kurs ostro w górę, tak że pojazdy kulistych ludzi, jak i ich kule ognia, przeszły nieszkodliwe pod nami. Zaś kiedy przelatywaliśmy nad nimi, wrogie statki zostały zalane ogniem błękitnych dezatomizujących promieni z naszych krążowników, które trafiły ponad dwadzieścia okrętów znajdującej się pod nami floty, natychmiast je anihilując. W momencie, kiedy już ich minęliśmy, natychmiast zawróciliśmy, zorganizowaliśmy się i popędziliśmy aby po raz kolejny uderzyć na wrogą flotę, która również zawróciła i zmierzała nam na spotkanie.

I znów dwie floty mknęły sobie na spotkanie i kiedy zbliżyły się do siebie na mniejszą odległość, różowy ogień i błękitne promienie skrzyżowały się ze sobą, uderzając z jednej floty do drugiej. Widziałem jak kule płomieni trafiły kilka krążowników wokół nas i za nami, statki te zniknęły w wirującej burzy ognia, chociaż ogień tutaj, w pozbawionej powietrza próżni, nie powinien szaleć aż tak gwałtownie. We flocie nieprzyjacielskiej, z kolei, statek za statkiem, celnie trafione przez nasze promienie, rozbłyskały oślepiającym błękitnym światłem i zniknęły bez śladu. Potem obie floty spotkały się, zmieszały się i skotłowały ze sobą,

tak że bitwa nagle zmieniała się w mnóstwo indywidualnych pojedynków między poszczególnymi krążownikami, wirującymi, uderzającymi i ginącymi, zmieniając się w kłęb różowych płomieni albo błękitnego światła i znikając z oczu, tam w tych wielkich bezmiarach kosmosu, pomiędzy zimno uśmiechającymi się gwiazdami.

W kierunku naszego statku również pomknął wrogi krążownik, ale kiedy jego różowy płomień skoczył w naszą stronę, skręciliśmy szybko w bok, a jednocześnie w tej samej chwili z kadłuba pode mną doleciał syk wyrzuconych promieni. Ponieważ tamten odrobinę za późno wykonał unik, trafiły one go ogon, i moment później nieprzyjaciel zmienił się w płonący na błękitno wrak, a potem zniknął. Od razu jednak spadły na nas z góry, dwa kolejne wrogie krążowniki, mknąc z pełną szybkością prosto na nas. Atak był tak gwałtowny, że nie było nawet czasu na to, aby uciec przed nimi, wykonując jakiś zwrot w bok, ale zanim okręty nieprzyjaciela wypuściły na nas swoje płomienie, przemknął nad nami błękitny promień ze statku lecącego za naszą rufą, uderzając w jeden z nich, i w chwili kiedy tamten wisiał nad naszymi głowami, płonąc własną destrukcją, drugi wpadł prosto na niego, po czym obydwie rozbłyły i zniknęły.

Zaraz potem, jakiś rozpędzony krążownik wpadł na nas z ukosa, od dołu, a nasz statek zatoczył się mocno i obrócił wokół własnej osi. Kiedy Hal Kur i ja, pozbieraliśmy się na nogi, nasz pilot leżał nieruchomo na podłodze, wyraźnie ogłuszony, tak więc natychmiast skoczyłem do pulpitu sternika i natychmiast chwyciłem za stery. W czasie kiedy nasz statek leciał bez kontroli, wyleciał ponad pole walki, które rozpościerało się pod nami, jak wielkie kłębowisko przewalających się i uderzających na siebie okrętów, poznaczone niemal wszędzie różowymi płomieniami i jaskrawym błękitnym światłem. Natychmiast wykonałem zwrot, i zanurkowałem przez kosmos prosto dziobem do dołu. Jednocześnie promienie z naszych miotaczy z głośnym sykiem śmigwały z góry w stronę wirujących w dole nieprzyjacielskich statków. W tym pędzie, ogarnęło mnie dzikie uniesienie, zachłysnąłem się szczęściem, czystą radością walki, która zawsze będzie skrywała się w sercu człowieka, nieważne ile wieków pokoju miał on za sobą. Kiedy wyrwałem statek do góry, śmiałem się głośno jak szaleniec. Zawróciliśmy i ponownie zanurkowaliśmy na kłębowisko wirujących w dole okrętów. Spośród wszystkich bitew w długiej historii ludzkich wojen, ta z pewnością była najwspanialsza. Jakże bowiem starożytne walki na stałej ziemi, czy też na morzach, albo między samymi planetami, mogłyby się równać z tymi tytanicznymi zmaganiem dwu flot w pustce pomiędzy gwiazdami, z potężnym słońcem unoszącym się za plecami i losem wszechświata wiszącym na włosku?

Teraz jednak, kiedy nasz krążownik ponownie wzleciał ponad walczące zaciekle statki, wyraźnie zauważyłem, że jednostki kulistych ludzi giną w coraz większej liczbie, niszczone przez błękitne promienie wystrzelwane z naszych okrętów. Wydawało się, że wrogowie stanęli na chwilę, następnie zafalowali, a potem wszystkie krążowniki kulistych ludzi porzuciły walkę, nagle zanurkowały setki mil w dół, zebrały się tam w zwartą grupę i pomknęły w kierunku Alto. Uciekali przed nami!

---

**N**ie było nawet potrzeby, abym wydawał rozkaz pościgu. Na widok uciekających okrętów wroga, nasze statki wykonały zwrot i z zajądłością skoczyły za nimi, z moim własnym krążownikiem w awangardzie. Błyskawicznie zaczęliśmy nabierać szybkości, aż w końcu obie floty mknęły naprzód, w stronę Alto, z pełną szybkością. Statkom wroga udawało się utrzymywać tuż przed nami, nieco poza zasięgiem strzału, pomimo tego, że wyciskaliśmy naszych generatorów ostatnie resztki mocy, aby zmniejszyć odległość między nami. I tak, przez cały czas wrogowie uciekali z prędkością światła, podczas gdy nasza flota siedziała im na karku, mknąc tuż za nimi. Pędziliśmy w stronę szkarłatnego słońca, które w miarę zbliżania się do niego, wypełniło połowę nieba. Nagle na tle tarczy słonecznej pojawiła się czarna plama, powiększając się z przerażającą prędkością. W ciągu kilku chwil uciekające przed nami krążowniki zniknęły w jej środku, rozplynęły się w wielkiej jamie w eterze, która rozpościerała się teraz przed nami. Nasze statki też nie zwolniły, tylko śmiało pomknęły prosto do przodu, i po chwili z kolei my, zanurkowaliśmy w niewypowiedzianej ciemności, rzucając się prosto do jamy w eterze, za uciekającymi jednostkami wroga. Pomruk naszych generatorów ucichł i przez pełne męczarni sekundy, dryfowaliśmy w całkowitej czerni, a następnie wypadliśmy z powrotem na rozlewający się z przodu czerwony blask wielkiego słońca. Zaś przed nami znowu uciekały krążowniki kulistych ludzi, kierujące się prosto w stronę swojego słońca.

Mknęliśmy tuż za nimi, pędząc teraz ponad wielkim słońcem. Wtedy właśnie, kiedy większa część naszej floty przelatowała dokładnie nad słońcem, pomruk naszych generatorów osłabł i zamarł. Natychmiast nasz statek zaczął spadać, lecąc na łeb, na szyję, w ognisty ocean Alto, znajdujący się dziesięć milionów mil pod nami!

Okręty naszej floty zaczęły spadać razem z nami, jak niesione przez wiatr liście i dopiero wtedy, krzyknąłem głośno i wskazałem palcem do przodu, pomimo że zmierzaliśmy wirując, prosto w rozpościerającą się pod nami ognistą śmierć. Bardzo, bardzo daleko ponad tym wszystkim wisiała mała grupa krążowników, z których dźgały w naszą stronę szerokie promienie purpurowego światła, zalewając nasze statki niesamowitym ogniem.

– Złapali nas w pułapkę! – zawołałem z rozpaczą. – Te statki, tam w górze -- te purpurowe promienie -- to one neutralizują wibracje naszych generatorów -- podprowadzili nas ponad to słońce, a teraz spadamy na nie...

Pod nami rozpościerało swoją paszczę ogniste morze czerwonego ognia, jakim było Alto. Rozciągało się od horyzontu do horyzontu, a języki ognia i protuberancje sięgały po nas łapczywie w górę. Nawet pomimo super-izolacji burt krążownika, czuliśmy narastające, narastające duszące gorąco, przenikające z położonego pod nami słońca. Około dwudziestu krążowników, lecących w ogonie naszej floty, uniknęło losu reszty z nas, na czas skręcając w bok. Natychmiast zmienili oni kurs i ruszyli ostro w



górze, a potem zrobili małe kółko i zanurkowali w stronę wiszących statków atakujących nas promieniami. Ani razu nie użyli błękitnych promieni, ale aby mieć pewność, że nieuchronnie zniszczą atakujących nas wrogów, zdecydowali się na własną śmierć, rzucając się na nieprzyjacielskie krążowniki i powodując dwadzieścia szybkich, druzgocących zderzeń. Po tym wydarzeniu, otaczające nas purpurowe płomienie zniknęły, a z góry, na rozciągające się pod nami szkarłatne słońce, zaczęły spadać szczątki roztrzaskanych wraków. Wraz ze zniknięciem promieni, nasze generatory podjęły swoje działanie, wypełniając statek znajomym pomrukiem, zaś statki naszej floty ruszyły szybko do góry, aby uciec czekającej pod nami ognistej zagładzie.

Pozostałe statki z floty kulistych ludzi do tej pory zniknęły i spoglądając na zegary, wydałem rozkazy przez telestereo. Nasza flota, ciągle w sile ponad pięciuset krążowników, ruszyła kursem prowadzącym od wielkiego słońca, w stronę brunatno ubarwionej małej kuleczki, najbardziej wewnętrznej planety układu. Jej kolor znowu szybko pogłębił się, w miarę jak mknęliśmy w jej stronę, zmieniając się na szkarłatny. Ponownie zerknąłem z niepokojem na tarcze zegarów, ponieważ w tej chwili, na uruchomienie miotacza promieni i użycie go przeciwko znajdującemu się za nami wirującemu słońcu, pozostało nam już nie więcej niż jedna czwarta godziny. Jak pędzące meteory nasze statki rozdarły atmosferę czerwonej planety, pomknęliśmy w stronę powierzchni planety i po kilku sekundach zaczęliśmy stopniowo schodzić nad miasto kulistych ludzi, w stronę stłoczonej masy czarnych dachów i ulic, ponad którymi wyrastała potężna wieża.

Kiedy znaleźliśmy się na niskim pułapie, na spotkanie nam wleciało pięćdziesiąt krążowników międzygwiazdnych, podobnych do naszych. Były to ostatnie resztki floty kulistych ludzi, którą ścigaliśmy wokół ich słońca. Z samobójczą determinacją, rzucili się błyskawicznie w naszą stronę i w następnej chwili wokół nas rozgorzała gorączkowa, straszliwa bitwa. Powietrze dookoła zmieniło się w piekło błękitnego światła i różowego ognia, skaczących i płonących, od statku do statku, podczas gdy dziesiątki wraków, w korkociągu, spadało na rozpościerające się w dole czarne miasto. Po pięciu minutach tego gwałtownego ataku, straciliśmy dobrą setkę naszych okrętów, ale straciliśmy wszystkie krążowniki kulistych ludzi, a przynajmniej tak nam się wydawało.

Po zakończeniu bitwy, mój krążownik wraz z kilkoma wcześniej wyznaczonymi, porozumiały się, że polecą natychmiast w kierunku platformy na wieży, na której znajdował się miotacz promieni, o dotarcie do którego, walczyliśmy przez całą drogę z wszechświata do wszechświata. Zeszliśmy niżej, w miarę zbliżania się do platformy, stopniowo redukując swoją prędkość. Byliśmy coraz niżej i niżej...

---

**P**rzez cały pokład pode mną przebiegł okrzyk wściekłej furii, i w tej samej chwili uświadomiłem sobie, że jakiś czarny kształt śmignął z góry,

przelatując tuż obok nas. Był to ostatni krążownik kulistych ludzi, który musiał unosić się w powietrzu, gdzieś wysoko ponad nami, czekając aż do tej ostatniej chwili. Opadł pod nas z szybkością błyskawicy, następnie na jedną chwilę zawisł złowieszczo obok platformy na wierzchołku wieży. W tej samej sekundzie z naszych statków skoczyła w jego stronę setka igieł błękitnego światła, ale nawet jeszcze wtedy, kiedy dosięgły celu, z burty wrogiego okrętu wylatywały jedna za drugą, kule wszystko anihilującego różowego ognia. Trafiły one w dziesiątkach miejsc wszystko co znajdowało się na szerokiej platformie, ją samą, jak również cztery potężne kolumny wspierającej ją wieży. Sam krążownik wroga rozbłysnął i rozpułnął się w nicości, pod deszczem promieni z naszych statków, ale ze wszystkich ust po naszej stronie wyrwał się potężny krzyk, ponieważ zobaczyliśmy, że wykonał on swoje zadanie. Kule ognia, które uderzyły we wieżę, na chwilę rozbłysnęły szaleńczym płomieniem, a potem znikły. Potem wieża zaczęła się kołysać i rozpadać. W końcu załamała się i zawaliła, spadając na ziemię potężną lawiną połamanych szczątków. Leżące w dole miasto zostało zasypane gęstym deszczem jej olbrzymich fragmentów. Wieża całkowicie znikła! Miotacz promienia został doszczętnie zniszczony!

Nasze statki zawisły kompletnie bez ruchu, jak sparaliżowane, i nawet ja byłem zupełnie oszołomiony, spoglądając przez okno ogłupiałym spojrzeniem na widoczne daleko w dole wrakowisko. Ponieśliśmy klęskę! Kiedy w końcu uniosłem wzrok, zobaczyłem że wskazówka na wiszącej przede mną tarczy zegara, właśnie przekroczyła godzinę dziesiątą. Nawet gdybyśmy mieli jakiś inny, nasz własny emiter, i tak byłoby za późno. Teraz już nic nie mogło uratować Ośmiu Planet, nic nie było w stanie już zmienić trasy lotu potężnego słońca na tyle wcześnie, aby uratować nasz wszechświat. My, rasy ludzkie zaryzykowaliśmy wszystko, nasze życie, nasz wszechświat, stawiając na ten jeden wielki rzut kośćmi i... i przegraliśmy.

Wydawało mi się, że stojący koło mnie we wieżycy sternika Hal Kur, nagle wpadł w obłąd. Zaczął się dławić, wydawać jakieś niespójne okrzyki, wskazując drżącą ręką przez nasze teleskopiczne okno w kierunku pędzącego przez kosmos olbrzymiego słońca, wiszącego nad naszymi głowami. Ponieważ nie chciałem unieść wzroku, chwycił mnie za ramię i przyciągnął do okna, Jego wskazująca do góry ręka, trzęsła się szaleńczo, a oczy wpatrywały się w jedno miejsce, jak zauroczone.

Popatrzyłem do góry. Tam, obok samego obrzeża potężnego słońca, znajdował się maleńki punkcik... nie, podłużna ciemna plamka, która wisiała nieustannie w jednym miejscu, posyłając w Alto promień jasnego światła. Przez moment nie byłem w stanie zrozumieć tego, co widzę. Ta mała czarna plamka, czarny kształt...

– *Popatrz!* – Hal Kur przeraźliwie krzyczał, jak ktoś, kto kompletnie oszalał. – *To jest...* – wykrztusił zdławionym głosem, chwiejąc się na nogach. – *To jest nasz stary krążownik! To Sarto Sen!*

Sarto Sen! To imię i nazwisko zapłonęło w moim mózgu żywym ogniem. Ten jasny promień -- wyraźnie uderzał w tę samą krawędź Alto, w którą kiedyś strzelali kuliści ludzie. Wielkie słońce obracało się więc coraz szybciej i szybciej...

– Ale przecież jest już za późno! – zawołałem, wyrzucając udręczonym ruchem rękę, w stronę tarczy zegara.

Za późno! Nic już teraz nie było w stanie zepchnąć słońca z kursu, na tyle wcześnie, żeby uratować Osiem Planet. Za...

Przerwałem i otuliła nas ciężka cisza. W tej ciszy Hal Kur i ja, popatrzyliśmy razem do góry, z ze strachem widocznym na naszych twarzach, takim strachem, jakiego jeszcze nigdy przedtem nie czułem żaden z ludzi. Ponieważ tam w górze, na tarczy potężnego szkarłatnego słońca, pojawiła się cienka czarna kreska, kreska która z każdą sekundą robiła się coraz grubsza i dłuższa. Teraz była to już widoczna wąska szpara, pomiędzy dwiema rozszczepionymi połowami wielkiej czerwonej gwiazdy, szczelina która szybko się powiększała. *Alto dzieliło się!* Rozdzielało się na dwie wielkie połowki, na dwie masy szkarłatnego ognia, które odsuwały się coraz bardziej od siebie. Rozpadło się jak wielka wirująca kropla wody, ponieważ promień Sarto Sena zwiększył jego prędkość obrotową do takiej wartości, że nie mogło już utrzymać swojej spójności. Obok niego wisiał ciągle mały krążownik, aż do ostatniej chwili strzelający jaskrawym promieniem w dzielące się słońce. Potem statek zniknął nam z oczu, kiedy prawa połowa słońca, morze wściekłego ognia, przetoczyła się po nim.

Sarto Sen jednak odniósł zwycięstwo! Dwie połowy rozdzielonej gwiazdy, powoli, majestatycznie rozchodziły się coraz bardziej od siebie, oddalając się w różne strony, ponieważ każda z nowych gwiazd poruszała się innym kursem. Pomiędzy nimi, widać było już jaśniejącą żółtą gwiazdę, nasze Słońce. Grożąca mu zagłada, teraz znikła, ponieważ dwie połowy Alto rozchodziły się w różne strony, zmierzając coraz dalej zarówno od siebie, jak i od naszego Słońca. A pod nami, czerwona planeta, krążąca przedtem wokół Alto, także zaczęła się poruszać, wyrzucona w kierunku prawej połowki rozszczepionego Słońca, popędziła w jej stronę i zniknęła w niej, w wielkim wybuchu ognia. Planeta po planecie, zniknęły w prawym lub lewym słońcu, dopóki nasze krążowniki nie zostały same w próżni kosmicznej, pomiędzy obiema rozchodzącymi się gwiazdami.

Słyszałem, że na pokładzie naszego krążownika i na wszystkich otaczających nas pozostałych statkach, narastał potężny zgiełk różnorodnych okrzyków radości, szalonej, niemal obłąkanej wesołości. Stojący tuż koło mnie Hal Kur, wrzeszczał jak opętany. Ludzkie rasy wygrały, pokonały największe zagrożenie, jakie kiedykolwiek zawisło nad ich głowami. Rozszczepiły słońce i zniszczyły wszechświat, żeby uratować swój własny.

Ale dla mnie samego, w tej chwili, to wszystko co się wydarzyło, oznaczało wyłącznie to, że zginął mój najlepszy przyjaciel.

---

**K**iedy ostatnie okręty naszej floty przybyły z powrotem na Ziemię, również panowała noc. Długie dni naszego lotu do domu, przemknęliśmy z pełną szybkością, a po dotarciu do Układu Słonecznego, zatrzymywaliśmy się po kolei przy każdej planecie, pozwalając pochodzącym z nich

krążownikom, na odłączenie się od floty. Na poszczególne planety powróciło zaledwie po parę statków, z setek które z nich wyleciały. A jednak były one witane przez takie potężne, wiwatujące tłumy, jakich żaden człowiek nigdy wcześniej nie widział. Ponieważ Osiem Planet oszalało wręcz z radości.

Tak więc w końcu kilkanaście poobijanych krążowników, które przetrwały z ziemskiego kontyngentu, znowu schodziło w dół, w stronę Gmachu Planet. Wokół niego i pod nim, płonęły wszędzie jaskrawe światła. Wydawało się, że zabrała się tu chyba co najmniej połowa mieszkańców Ziemi, tworząc ogromny, rozkrzyczany tłum. Powoli, nasze statki schodziły stopniowo coraz niżej, nad ich głowami, opadając na wewnętrznym lądowisku, na dziedzińcu wielkiego gmachu. Tam właśnie wyszli nam na spotkanie Mur Dak i członkowie Rady.

Przewodniczący jako pierwszy pochwycił mnie za rękę i to właśnie od niego dowiedziałem się w jaki sposób Sarto Sen zaplanował nasz ratunek, powielając w swoim laboratorium promień siłowy kulistych ludzi i pędząc z nim przez kosmos na Alto, w naszym starym krążowniku, w towarzystwie tylko Nar Lona i kilku swoich oddanych asystentów. Mur Dak wyjaśnił mi, ze wzruszeniem na twarzy, że mój przyjaciel przeprowadził swój plan z przypisaniem mu domniemanego tchórzostwa, ponieważ dobrze wiedział, że wyprawa ta oznaczać będzie jego śmierć, i zdawał sobie sprawę, że nalegałbym, aby mu w niej towarzyszyć.

Do tej chwili wrzawa wznoszona przez wielki tłum zebrany wokół Gmachu Planet, zmieniła się w nieustanny krzyk, i przez cały czas ludzie wzywali Jan Tora. Członkowie Rady, razem z załogami ocalałych krążowników, już wcześniej wyszli z lądowiska i udali się przez budynek, aby wyjść do zebranego przed nim tłumy. Zostali przywitani potężnym rykiem aplauzu. Został tylko sam Mur Dak, razem z Hal Kurem i ze mną, a po chwili on również nas opuścił, wymusiwszy obietnicę, że za kilka minut pójdziemy za nim. Nie byłem w stanie, tak od razu, stanąć przed tymi rozradowanymi, świętującymi masami ludzi. Zbyt dobrze zdawałem sobie sprawę, że obok mnie stałby niewidoczny dla innych cień, szczupłego młodzieńca w okularach, któremu to wszystko zawdzięczaliśmy. Tak więc stałem na cichym lądowisku, wpatrując się w ozdobione klejnotami niebo, jeszcze raz spoglądając na świecące w górze niewielkie plamki czerwonego światła, które rozeszły się już daleko od siebie.

Przed moimi oczyma zdawała się napływać skądś jakaś mgła, rozmywając i rozmazując dwa odległe punkciki światła, na które patrzyłem. Wtedy, gdzieś obok siebie usłyszałem głęboki głos Hal Kura.

– Wiem, Jan Tor – mówił do mnie. – On był również i moim przyjacielem.

Wskazał ręką w stronę stojących koło nas poobijanych krążowników, a potem uniósł wzrok na ozdobione świecidełkami gwiazd niebo.

– To właśnie z tej Ziemi pierwsi ludzie wyruszyli w kosmos, Jan Tor. To stąd szli od planety, do planety, aż w końcu wszechświat stał się nasz. A teraz, kiedy Sarto Sen uratował ten wszechświat, i dał nam te krążowniki, zastanawiam się, jak daleko zajdzie człowiek? Dalej i dalej w kosmos...

wszechświat za wszechświatem, gwiazda za gwiazdą, konstelacje, mgławice... Dalej, dalej i jeszcze dalej...

Przerwał. Ciemna, wyprostowana postać, stojąca koło mnie, z wyciągniętą w górę ręką, w geście dumnej, wyzywającej obietnicy, składanej jaśniejącym, skłębionym rojom gwiazd.

KONIEC